ROK I Nr. 9. 24 marca 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



WESOŁE PRZYGOTOWANIA PRZEDŚWIĄTECZNE.

Świat w roku 2029

(Według fantastycznego, studjum naukowego Lorda Birkenheada).

Zawrotne tempo życia, którego jesteśmy świadkami, pozwala przypuszczać, iż bieg jego bynajmniej nie będzie osłabiony, przeciwnie nawet — coraz nowe zdobycze, z dnia na dzień niemal przynoszone cywilizacji, stanowią pewnego rodzaju zachętę do dalszych intensywnych badań. Prorocza wizja niniejszego artykułu wyszła z pod pióra jednego z najgłębszych myślicieli współczesnych, lorda Birkenheada, i oparta jest na niezmiernie poważnych podstawach, tembardziej, iż autor posługuje się najzupełniej prawdopodobną empiryczną metodą dociekań. W wyniku tych badań lord Birkenhead dochodzi do przekonania, iż w ciągu XX-ego stulecia osiągniemy realizację następujących zagadnień:

1) przyrostu ludności drogą chemicznej produkcji; 2) radykalnej przemiany, która nastąpi w instytucji małżeństwa; 3) ograniczenia pracy do normy 2-ch godzin na dobę; 4) stwarzania produkcji spożywczej przy pomocy metod syntetycznych; 5) przedłużenia życia do 150-u lat; 6) zaniku przemysłu górniczego; 7) przedłużenia dnia do 48-u godzin drogą opóźnienia tempa obrotu globu ziemnego; 8) udostępnienia wszystkim widzenia i słyszenia na nieograniczonej przestrzeni.

Sto lat temu... Wyobraźmy sobie zdumienie człowieka, urodzonego w r. 1829, co zaledwie zdążył poznać jako teorję dostępną dla nielicznego grona uczonych — pospolite dziś zdobycze wynalazczości — parową maszynę, elektryczność i t. p. — na widok postępu, osiągniętego w 100 lat później. Cóż w tem dziwnego, jeśli pomyślimy, że zwykły i nieodzowny dziś przyrząd, jakim jest telefon był cudem wynalazczości dla naszych ojców, że my byliśmy świadkami pierwszych, kilkominutowych wzlotów powietrznych, że przed kilkoma laty zaledwie poznaliśmy radjo...

Postęp toruje sobie drogę z nieprawdopodobną szybkością i za sto lat prawnuki nasze dziwić się będą obecnemu zacofaniu.

Postęp sprawi z pewnością, iż za 100 lat nie będzie mowy o dobywaniu siły przemysłowej w tak kosztowny sposób, jak się to dzisiaj praktykuje. Energji dostarczy nam przyroda. Ujarzmienie siły wodnej pozwoli nam osiągnąć wyniki, wyrażające się w stosunku do węgla jako kilka miljonów koni parowych wzrostu na równą jednostkę wagi. Stąd wyniknie znaczne potanienie produkcji, które pozwoli chociażby na zrealizowanie tak fantastycznych projektów jak przesunięcie lądów z miejsca na miejsce lub na dowolne wzmożenie temperatury na biegunie północnym, dorównującą klimatowi z pod zwrotników.

Mechanika posługiwać się będzie urządzeniami, które wytworzą energję kilku miljonów koni parowych.

Potanienie środków przewozowych wpłynie na radykalną zmianę cen i przewartościowanie wszelkich dóbr.

Podobny przewrót poważnie odbije się na warunkach pracy ludzkiej i zasadniczo zmieni podstawy życia społecznego.

Poruszyliśmy w danym wypadku dziedzinę, w której poczyniliśmy już pewne doświadczenia. Cóż dopiero, jeśli dociekania nasze przeniesiemy na mniej znane dotychczas siły przyrody, jak przypływ i odpływ mórz, wiatry itp. Pierwsza z tych sił może skutecznie wpłynąć na zwolnienie obrotów kuli ziemskiej (zaobserwowano wyraźne tarcie, zachodzące w okolicach morza Beringa pomiędzy Alaską a Syberją) a zwolnienie obrotów ziemi jest równoznaczne z przedłużeniem dnia.

W takiem samem tempie posuną się niewątpliwie udoskonalenia w dziedzinie telefonu bez drutu i młodej jeszcze nauki, telewizji.

Następstwem powyższego będzie radykalna zmiana, dotycząca stosunków politycznych, gdyż wówczas poszczególni przedstawiciele narodów będą w ciągłym kontakcie ze swymi wyborcami, zamieszkałymi w różnych dzielnicach kraju, a głosy pojedyńczych obywateli będą automatycznie i natychmiastowo obliczane. W ten sposób stanie się możliwe powzięcie decyzji drogą referendum w przeciągu 20 minut od czasu wszczęcia dyskusji.

Chemja nie pozostanie w tyle za fizyką. Aluminjum naprzykład będzie mogło być produkowane po niższej cenie od żelaznego odlewu, a giętkie, nietłukące się szkło — będzie powszędzie używane w życiu codziennem.

Łatwo sobie wyobrazić — zwłaszcza wobec doświadczeń uskutecznionych w ostatnich kilkudziesięciu latach, jak wielkie zajdą zmiany w lecznictwie. Szereg nieuleczalnych chorób, jak np. rak lub gruźlica, zanikną pod wpływem nowych metod leczenia, podobnie jak ma to miejsce z ospą, tyfusem i t. p. Nieograniczony czas usypiania przy operacjach pozwoli na dokonywanie najbardziej skomplikowanych procesów chirurgicznych.



LORD BIRKENHEAD,
utalentowany autor angielski.

W dziedzinie biologji dowolne przedłużenie życia ludzkiego będzie szeroko rozpowszechnione, podobnie jak badania nad dziedzicznością a usuwanie tych lub innych cech pozwoli na udoskonalenie rodzaju. Sztuczne rozmnażanie laboratoryjne zasadniczo wpłynie na zmianę stosunków rodzinnych. Metoda ta pozwoli na dokonywanie zasadniczej zmiany charakteru danego narodu przez planowe stosowanie selekcyjnych materyj rozrodczych, podobnie jak ma to miejsce w nasiennictwie.

Skutkiem potanienia i ułatwienia produkcji czas wykonywania pracy będzie ograniczony do paru godzin na dobę, a chemiczne zdobycze pozwolą na zastąpienie płodów rolnych przez równie skutecznie namiastki wytwarzane w laboratorjach. Produkowanie posiłków koncentrowanych syntentycznym sposobem zostało już zapoczątkowane, chodzi więc tylko o dalsze udoskonalenia.

Przewrót ten wpływa poważnie na ograniczenie roli płodów przyrodzonych. Uprawa roli stanie się przeżytkiem.

Zagadnienie to jest ściśle związane z kwestją socjalną, dotyczącą stosunku ludności wiejskiej do miast. Dotychczasowe przekonanie, iż miasta są pasożytami wsi ustąpi miejsca nowym teorjom i organizacji, zmierzającej do założenia, trwałych podstaw dla samowystarczalności osiedli miejskich. Podobnie również ulegną zmianie wytyczne polityki, szukającej oparcia na ludności wiejskiej, jako ugruntowanej w sposób stały, a więc wnoszącej więcej umiaru do swych poglądów. Wysiłki przyszłych działaczy społecznych i politycznych zwrócą się całkowicie w kierunku stworzenia silnego mieszczaństwa.

Niepodobna ściśle przewidzieć do jakiego stopnia rozwoju dojdziemy w ciągu bieżącego stulecia. Przypuszczenia, oparte na dotychczasowych zdobyczach, równie dobrze pozwalają nam wyobrazić sobie, iż w wyniku jakiegoś nieoczekiwanego odkrycia biologicznego, wybuchnie katastrofa, która może zniszczyć cywilizację i wstrzymać jej rozwój na tysiące lat.

Podobnymi wizjonerami bywali twórcy nowych teoryj socjalnych, niejednokrotnie jednak się zdarzało, iż próby w kierunku pozytywnym miast przynieść postęp i dobro, cofały życie do najbardziej prymitywnych jego form.

Różnie bywa na świecie, a przekonamy się o tem, co zajdzie za sto lat, jeśli dożyjemy przy pomocy Woronowów i Steinachów.

Pomijając możliwość gwałtownych przewrotów zauważyć należy, iż bieg postępu bynajmniej nie jest stały. Po latach twórczych nastąpić mogą dłuższe okresy martwoty, względnie nawet takie, w których wniesione będą zaledwie pewne udoskonalenia lub uproszczenia dawno zaprowadzonych wynalazków. Dzieje pierwszej lokomotywy są najwłaściwszym w danym wypadku przykładem, gdyż potężny parowóz dzisiejszy zbudowany jest według starych zasad naukowych, datujących się z przed kilkudziesięciu lat. To samo może mieć miejsce z telefonem i samolotem.

Zwrócimy wreszcie uwagę na zakończenie, iż życie samo wywołuje niezbędność stwarzania nowych zasad i zachęca do coraz to innych badań naukowych.

Najodpowiedniejszym tego przykładem jest okres wojny światowej, podczas której stworzono wiele ciekawych i pożytecznych rzeczy.

Prorocza nuta głębokiego myśliciela współczesnego posiada więcej prawdopodobieństwa od fantazji romantyka Vernego, którego przepowiednie przyszłości były oparte li tylko na koncepcji marzycielskiej, a przecież tak co do joty się sprawdziły.

Ter.

Uroczystość zaślubin Jana Zamoyskiego z Infantką hiszpańską

W dniu 9 b. m. w kaplicy pałacu królewskiego w Madrycie odbył się ślub infantki Izabeli Alfonsyny, córki zmarłej infantki Mercedes, (siostry króla Alfonsa XIII-go) z Janem hr. Zamoyskim.

Młodą parę prowadzili do ołtarza król i królowa. Świadkami ze strony infantki byli ks. Asturji, infant don Jaime, infanci don Alfonso de Bourbon i don Fernando. Świadkami pana młodego — ks. Raniero de Bourbon, ks. Sanguszko, hr. Grocholski, Adam hr. Zamoyski i poseł Rzeczypospolitej w Madrycie, Jan Perłowski.

Po śniadaniu, odbytem ze względu na żałobę Dworu w ścisłem gronie rodzinnem, młoda para wyjechała do zamku Villamaringuo pod Sewillą, gdzie zamieszka przez kilka tygodni, poczem przybędzie do Polski.

Hr. Zamoyski występował w mundurze galowym rycerskiego zakonu Calatrava. Nadmienić należy przy sposobności, iż zakon ten—jeden z czterech istniejących w Hiszpanji — został założony w r. 1158 w Nowej Kastylji przez rycerzy zakonu Citeaux. Miasto Calatrava zostało mu oddane w posiadanie edyktem króla kastylskiego, Sancheza III z obowiązkiem bronienia go przed Maurami. Przyłączono je w następstwie do Korony edyktem z r. 1489.



Jan hr. Zamoyski i małżonka jego Infantka Izabella Alfonsyna.

Tyle notatka oficjalna.

Dodamy przy sposobności, iż nie poraz pierwszy przedstawiciele rodów polskich wchodzą w związki małżeńskie z książętami krwi. Ciekawe szczegóły o koligacjach rodowych znajdujemy w następującem zestawieniu.

Matka hr. Zamoyskiego, ks. Karolina pochodzi z rodu Bourbon de Siciles i jest wnuczką b. króla Neapolu. Córka jej — Karolina zaślubiła ks. Ranieri de Bourbon de Siciles, brat zaś ks. Ranieri żonaty był z niedawno zmarłą ks. Małgorzatą Czartoryską. Babka ks. Małgorzaty, ks. Władysławowa — wielce zasłużona opiekunka naszej emigracji w Paryżu — pochodziła z domu Orleańskiego i była wnuczką króle Ludwika Filipa.

Ród książąt Czartoryskich jest ponadto spokrewniony z domem Habsburgów przez małżeństwo ks. Olgierda z arcyks. Mechtyldą, córką arcyksięcia Karola Stefana (z Żywca). Siostra jej arcyks. Renata zaślubiła księcia Hieronima Radziwiłła.

Ród książąt Radziwiłłów spowinowacony był z domem Hohenzollernów i z bawarską dynastją elektorów Palatynatu.

Z ostatnią tą linją wreszcie spowinowaceni byli książęta Lubomirscy.

Er.



W orszaku ślubnym hr. Zamoyskich w Madrycie obecni byli Król i Królowa Hiszpanji, Infanci i Infantki, poseł Rzeczypospolitej Jan Perłowski z radcą poselstwa, Jerzym hr. Tarnowskim, świadkowie pana młodego — Ks. San guszko, hr. Grocholski i Adam hr. Zamoyski, dyktator hiszpański gen. Primo de Rivera i około 100 zaproszonych gości.

Wagner w karykaturze



Nie ulega wątpliwości, że Ryszarda Wagnera zaliczyć należy do najwybitniejszych duchów twórczych, jakich wydała ludzkość. Genjalny ten muzyk był tak potężnym inowatorem, iż musiał oczywista narazić się na wiele ataków ze strony fachowej krytyki oraz międzynarodowych sfer miłośników muzyki, powoli zaledwie zdobywając sobie uznanie i rozgłos.

Równolegle z tą krytyką i nawet później, gdy powstały całe zastępy wyznawców t. zw. „Wagneryzmu" — napotykamy na olbrzymi szereg karykatur współczesnych, uwypuklających zarzuty, które mu czynili jego przeciwnicy i śmiesznostki właściwe wszystkim, największym nawet ludziom. Karykatury te powstały jednocześnie we wszystkich krajach, dokąd tylko dotarły owoce twórczości genjalnego muzyka i, wertując cenne te dokumenty dochodzimy do wniosku, iż ostrze ironji skierowane było nie tyle przeciw muzyce, jako takiej, ale przeciw pewnym dążeniom, których Wagner był potężnym promotorem. Oto bowiem, jak się okazuje, za duchem wolnym artysty rozpostarł swe skrzydła duch powinności państwowej, duch germańskiej gloryfikacji wszystkiego, co ujęto w 3-ch wyrazach hymnu: „Deutschland über alles" duch, co innemu wielkiemu Niemcowi Nietschemu, niegdyś związanemu z nim szczerą przyjaźnią, podyktował gorzkie uwagi i wyrzuty.







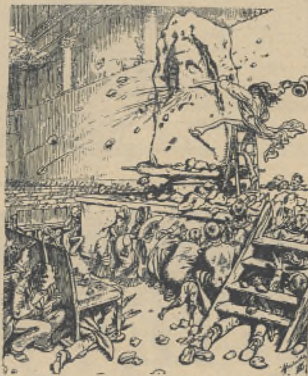
„Nie znoszę tej rasy — wyznawał otwarcie Nietsche — z którą razem będąc jest się zawsze w złem towarzystwie... Niemcom brak całkowicie pojęcia, jakimi są prostakami, lecz to jest najwyższy stopień prostactwa — nie wstydzą się nawet być tylko Niemcami... Zabierają głos we wszystkiem, uważają się za rozstrzygających...

I właśnie dlatego, iż Nietsche uwielbiał Wagnera, jako wielkiego ducha twórczości czynił mu zarzut, iż poddał się „wagnerzystom", że dał przetłomaczyć dzieła swe na niemieckie, że dał się obwiesić cnotami niemieckiemi. „Biedny Wagner — lituje się nad byłym swoim przyjacielem— żebyż był przecież pojechał przynajmniej pomiędzy świnie! Lecz między Niemców! Ostatecznie należałoby dla potomności prawdziwego Beyrutczyka wypchać, lepiej jeszcze wsadzić w spirytus, bo nie dopisał tam *spirytus* i napisać: „Tak wyglądał duch, na którym zbudowano państwo. ...Czego nie wybaczyłem Wagnerowi nigdy? Że stał się powolny żądaniom Niemców, że stał się państwowo niemieckim... Dokąd sięgają Niemcy, psują kulturę."

Zbiór karykatur o Wagnerze znakomicie ilustruje opinję Nietsche go. Skrytykowany w Paryżu, staje się nienawidzącym germańskim szowinistą, wylewającym żółć swą przeciw Francuzom. Upadek „Tannhaüsera" nad Sekwaną wzmógł w nim dążenie do stworzenia eposu niemieckiego, jako broni przeciw kulturze łacińskiej. Szczególny ten człowiek — jak wszyscy zresztą genjalni ludzie, kojarzący przeróżne sprzeczne cechy charakteru — entuzjasta, a jednocześnie wyrachowany, przebywa na dworze bawarskim, gdzie stwarza kolosalną operę narodową; wielki ten człowiek ma śmieszne słabostki, jak upodobanie w przedziwnych strojach, o doborze których prowadzi całą korespondencję z... modystką wiedeńską.







Upojony powodzeniem, traktowaniem go jako barda narodowego, skupia coraz więcej wielbicieli, którzy czynią mu najcudaczniejsze propozycje, jak np. obwożenia w teatrze... cyrkowym Barnuma, napisania partycji na mankietach i gorsie „muzykalnej koszuli" pomysłu jednego z jego adoratorów i t. p.

Wagner, aczkolwiek uznany za jeden z największych genjuszów, zawierał masę cech komicznych, czego najlepszym dowodem jest olbrzymia spuścizna karykatur i anegdot, stworzonych przez wdzięcznych rodaków.

Grafologiczne badanie pisma Ryszarda Wagnera

Mit der Bitte, mich auch Herrn
Director Stöger bestens zu empfehlen, verbleibe ich mit wahrer
Hochschätzung und Ergebenheit
der
Ihrige
Richard Wagner
Zürich
2. Dec. 54.

Wyjątek listu z podpisem Wagnera datuje się z r. 1854, kiedy rozpoczynała się karjera artysty. Charakter pisma wykazuje staranność i dbałość o wygląd poszczególnych liter, zwłaszcza dużych; zmysłowość umiarkowana, litery zlekka pochylone świadczą o opanowaniu w odruchach psychicznych; kropka po podpisie jest oznaką rozsądnego zastanawiania się nad przyszłością, które do pewnego stopnia nazwać można nawet metodycznem budowaniem karjery na stałych podstawach materjalizmu. Kropka ta zniknie, gdy Wagner dojdzie do szczytu sławy i uniesiony temperamentem da pełną wnię duchowi oryginalności, przejaskrawionemu do utraty wszelkiego umiaru, do stanu niemal patologicznego. Początek tej przemiany zauważony w podpisie artysty — z r. 1868, kiedy lekarze monachijscy — dr. Putschman i Herman poważnie zaczęli się zastanawiać nad umysłowością Wagnera. Litera R wykoślawione w nienaturalny i pretensjonalny sposób — podpis zmierza do góry. W r. 1876 widzimy znów inny podpis — litera R przerasta niemal 3-krotnie lit. h kierunek pisma fantastyczny. Trudno uwierzyć, by podpis ten nakreślił ten sam człowiek, co w 1854 r., aczkolwiek już wtedy, w roku Tannhaüsera i Lohengrina artystyczna indywidualność Wagnera była całkowicie skrystalizowana.

PODPIS RYSZARDA WAGNERA Z R. 1868.

Richard Wagner

PODPIS RYSZARDA WAGNERA Z R. 1876.

Richard Wagner



Phot. Sennecke.
Calles, b. prezydent, obecnie minister wojny Republiki Meksykańskiej.



„Niszczycielska rewolucja" — oryginał fotografji propagandowej, wydanej przez obecny rząd meksykański i rozrzucanej w setkach tysięcy egzemplarzy po całym kraju.



Phot. Sennecke.
Gil, obecny prezydent Meksyku, znienawidzony przez rewolucjonistów.

W kraju wiecznej rewolucji

Meksyk, jak zresztą prawie wszystkie republiki Centralnej i Południowej Ameryki, to kraj „generałów" i żołnierzy.

Każdy też większy ośrodek tego kraju zamieszkały przez tubylców — to kadra rutynowanych rewolucjonistów; każda sprytniejsza jednostka — to przyszły generał, a może i... prezydent republiki.

Sto cztery lata milknących jedynie na bardzo krótko walk rewolucyjnych, wytworzyły z całej ludności Meksyku zawodowców - rewolucjonistów, gotowych w każdej chwili walczyć za lepiej opłacającą się sprawę. Okazji do tego jest wiele...

Każde stronnictwo polityczne, każda grupa finansowa, broni swoich interesów jedynym sposobem — z bronią w ręku. Sytuację tę potęgują jeszcze inne państwa ościenne, które podżegając poszczególne partje, zaopatrywują je w broń i środki pieniężne, chcąc wytworzyć zamęt i wykorzystać go dla swych celów politycznych.

„Meksyk — to jedenaście i pół miljona dzikusów, pięćset tysięcy inteligencji i... dwustu rabusiów, którzy rządzą całym krajem, terioryzując swych współobywateli" — słowa te wypowiedziane przez jednego z meksykańskich adwokatów były użyte jako argument przeciw niemożności powrotu przez długie jeszcze lata do normalnych warunków pracy państwowej. Nic też dziwnego, że *melio* meksykański nie zdając sobie nawet sprawy z przebiegłości chwilowych „pracodawców", walczy bardzo często w obronie wrogich dla siebie celów.

Nie wyschła jeszcze krew rozlana po ulicach miast i polach Meksyku w bratobójczych walkach, wywołanych t. z. „kwestją katolicką", nie zamilkł jeszcze krzyk ofiar zrzucanych bratniemi rękami do szybów kopalnianych, w obronie... interesów amerykańskich koncernów naftowych — a już koniec kadencji prezydenta Callesa dał nowe hasło do kontynuowania mordów i grabieży. Nowy prezydent — nowa rewolucja! I tak bez końca... od stu czterech lat, od chwili gdy na gruzach ostatniego cesarstwa Meksyku, ogłoszono konstytucję młodej republiki!

Widocznie w tamtejszych warunkach zdobycie godności „pierwszego obywatela państwa" jest niemożliwe bez akompanjamentu wystrzałów i skrzypienia szubienic. Nie darmo też historja głosi, że jeden z ostatnich prezydentów, został wybrany jedynie dzięki temu, że... podczas wyborów u *Camara Deputatos* zastrzelił własnoręcznie czterdziestu swoich przeciwników. Postępek meksykańskiego „króla kurkowego" nie zdziwił specjalnie społeczeństwa, nieprzyzwyczajonego do posiedzeń parlamentu, które nie byłyby urozmaicone strzelaniną.

Tytuł „generała" i olbrzymi rewolwer — to słabość każdego z tych dwustu meksykańczyków, o których wspomina steroryzowana inteligencja kraju wszelkich możliwości. Rewolwer nabywa się w sklepie, a tytuł generalski nadaje się... sobie, po uprzednim zgromadzeniu odpowiedniej bandy indjan-rewolucjonistów. Są coprawda w stolicy szkoły wojskowe, ta droga jednak jest zbyt długą do „zdobycia" najwyższych stopni w chierarchji wojskowej.

Jeden z przedstawicieli rządu meksykańskiego, akredytowany w Europie, określił w wywiadzie dziennikarskim obecny stan w swym kraju jako „typową (!?) wojnę domową o stanowisko prezydenta".

Skończyła się kadencja prezydenta Callesa, stanowisko jego objął „prawomocnie" Portez Gil. Wśród niedoszłych kandydatów zawrzało. Cały kraj, od skalistych wybrzeży Yucatanu, po przez porty Pacyfiku i Zatoki Meksykańskiej, aż do ogrodów palmowych Kalifornji, zbrojny w nowe porywające hasła, znów rozpoczął ogólną walkę. Przywódcy poszczególnych partyj walczą nietylko z rządem, ale też i między sobą, bo walka rozgrywa się według metod przyjętych w dawnych rzymskich cyrkach — na placu pozostaje ostatni zwycięzca...

A ciemny indjanin, którego całym strojem są niejednokrotnie tylko... spodnie, zrasza swą krwią ziemię ojczystą na rozkaz spekulantów politycznych lub zagranicznej finansjery.



Atlantic-Photo-Co.
Rezydencja prezydenta Meksyku, w Chapultepeco.

I jak wygląda ta... wojna?

Dla nas, zżytych z wrzawą wojenną, słowo to oznacza manewr i spotkanie oddziałów dowodzonych przez wyszkolonych oficerów, mających do rozporządzenia dobrany odpowiednio materjał zarówno ludzki, jak i techniczny. Jakże inaczej przedstawia się to w Meksyku.

Nieregularne bandy liczące od pięciuset do pięciu tysięcy ludzi, dowodzone przez „generała" i podwładnych mu oficerów, pustoszą kraj wzdłuż i wszerz, poszukując lub też, co również często się zdarza unikając przeciwników. Wyposażenie techniczne, to broń najrozmaitszych systemów — demobil z okresu wojny europejskiej jak również z parków artyleryjskich — Kościuszki i Waszyngtona. Uzbrojenie to jednak wystarcza w zupełności do... napadów na ludność miast i pociągi, pełne podróżnych.

Armja federalna — nazwa ta przysługuje oddziałom, które w danej chwili wypowiadają się po stronie rządu — składa się z nielicznej gwardji, pełniącej służbę w stolicy, oddziałów prowincjonalnych, na barkach których spoczywa obowiązek walki z powstańcami i... zdobycia żywności. W organizacji armji meksykańskiej nie spotyka się bowiem intendentury; żołnierz musi sam myśleć o swoich potrzebach. To też za każdym oddziałem bosych często żołnierzy, maszerują w takt trąbek żony i matki bohaterów, niosąc na plecach żywność i... małe dzieciaki.

Falanga ta zapełnia dziś wojennym gwarem cały świat, a my, tutaj w Europie wydajemy przeszło 60 proc. naszych budżetów państwowych na organizację wojska.

I poco? Panowie ministrowie wojny! — czyż nie lepiej brać przykład z Meksyku?...

*

Ostatnie wiadomości, otrzymane via Nowy York, są pomyślne dla meksykańskich wojsk rządowych, za któremi zresztą od pierwszej chwili wypowiedział się potężny sąsiad Meksyku — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Podług kablogramów powstanie meksykańskie zostało tak dalece stłumione, że zwycięski Portez Gil wydał rozkaz wstrzymania dalszych zaciągów do wojsk rządowych.

Gdy piszemy te słowa, armja rebeljantów koncentruje się w pobliżu miejscowości Torreon, gdzie w chwili ukazania się tego numeru „7 Dni" ma się rozegrać bitwa decydująca.

Ano, zobaczymy...

Stwierdzamy tymczasem, że zdolna finansjera U. S., dbała o swe interesy na terytorjum Meksyku, dyktuje powolnym politykom stanowisko, które mają zająć wobec powstania.

„Fair play" ekonomiczne zaiste nie pozbawione... praktyczności.

W. Tomaszewski.

Staropolska „Oekonomika"

Niechaj nam wybaczy autor „Oekonomiki Ziemiańskiej Generalnej" zacny smakosz imć Kazimierz Haur, żeśmy z tytułu jego przejęli jeden wyraz, używając go jako nagłówek niniejszego artykułu, traktującego o staropolskich obyczajach stołowych oraz o przepisach na szlachetne jadło. Niechaj nam wybaczy — nie o to bowiem nam chodzi, byśmy krotochwilę mieli uczynić ze zgoła poważnej materji, istotnej, bo dla życia niezbędnej, bo życie owo, jak świadczą liczne przykłady, nawet podtrzymującej na długie lata. Weźmy więc taką Katarzynę Denhoff, co do 120 lat w krzepkiem zdrowiu dożyła, Pawła Sapiehę, co w 100-m roku życia urząd wojewody nowogródzkiego sprawował, Krzeczewskiego, zwanego „stryjem", 103-letniego towarzysza chorągwi pancernej, 120-letniego Dobrzelewskiego, 104-letniego woźnego trybunalskiego z Lublina, Pobowickiego, 156-letnią (?) Jarandowską z Torunia... Nie zliczyć ich nawet, wiadomo wszelako, że jadali, jak nigdy nam się nie zdarzało, pili jak smoki i jak smoki stawali w potrzebie. Jeść trzeba, byleby umiejętnie to czynić, a choleryczne chimery nie wywoływały złego trawienia, byleby wreszcie mistrz kuchni umiał smakowite jakieś danie wyspekulować. Jak wielce zaś ceniono tych specjalistów, dowodem jest nadanie imci kuchmistrzowi J. O. księcia Lubomirskiego, Stanisławowi Czernieckiemu godności szlacheckiej. Jemu to właśnie i my, wychowani w sztuce kulinarnej, według receptów pani Elżbiety, hołd oddajemy, jako temu, co aż czterech edycyj literacko-kuchennych prac się dosłużył.

Stanisław Czerniecki, długoletni kuchmistrz nadworny wojewody Krakowskiego, J. O. Aleksandra Michała Księcia Lubomirskiego, był autorem znakomitych naówczas przepisów stołowych, dzieła wielce cennego, albowiem nietylko o *„ubraniu potraw"* traktującego, ale również o wielu wskazówkach, przykładach i opisach, świadczących o dokładnej znajomości urządzania dworskich przyjęć. A sztuka to nielada, *„trzeba bowiem wiedzieć — upprzedza autor — że był takowy traktament i wygoda gościom, że zastawiano pełne stoły jadła wszelakiego, iż lubo przy stole spali i jeść nie chcieli, to potratili festyn jeden odprawiać od piątku do piątku — szczęśliwie i bez zwady"*. Na to jednak, by takiej sztuki dokonać, należało posiadać obszerny zapas wszechstronnej wiedzy.

Podobne festyny wzbudzały ogólny podziw cudzoziemców, którzy w relacjach swoich nachwalić się nie mogli, że pomijając splendor w takim rozmaitym ruchu kręciły się dania, że *„nawet planety nie mają podobnie regularnego obrotu"*.

Uroczysty nastrój wzbudzony przez specjały i ordynek festynowy Czernieckiego, hamował niskie, a tak zwykłe instynkty, które wyraz swój znajdują w następujących na sztućcach wypisanych sentencjach:

„Nie kładź mię w zanadrze,
Bym ci nie wypadła"
lub
„Mnie kto skryje
Bardzo mój pan bije".

Ostrzeżenia takowe kierowane były celem powstrzymania gości od nadużywania przez nich prawa gościnności, które, wedle pojęcia wielu, pozwalały na zabieranie ze sobą sreber na pamiątkę.

„Memorjał generalny" albo inaczej *„ogólna pamięć przygotowywania na bankiet, według którego y największych monarchów bankiety być mogą y nayuboższych być może ukontentowanie"* przewidywały najdrobniejsze szczegóły festynu. Od samego przygotowania dań — do ich podania, ilości w których należało je wystawiać, a nawet i sposobów, by służba ich nie wynosiła.

Ostatni ten szczegół wywołać może w naszych pojęciach zdumienie a jednak faktem jest, że poważną pozycją w koszcie przyjmowania gości — było utrzymanie ich czeladzi, której nie licząc stajennych i innych pocztowych, po trzech lub czterech pachołków stawało za krzesłem swego pana, gwoli jego obsługi. Zwyczaj dopuszczał wprawdzie, by pachołek zmieniając talerz — kęs jakowyś ściągnął i zjadł na miejscu, byle na stronę odszedł. Zwyczaj pozwalał, by skupieni po kątach, łapczywi pachołkowie *„wyczyniali tam różne nieprzyzwoitości"*. Za wiele było tej kosztownej licencji, by służba miała nadomiar wynosić z obejścia jadło i sztućce i dzielić się niemi z chętnym na te dobra gminem wiejskim. Haur tedy, a wraz z nim i Czerniecki przypominają o konieczności wystawiania przed bramą specjalnej straży, zwanej *wrotnymi*.

Memorjał generalny przewiduje, jak należy bankiet *„akkomodować"*, aby zbytku nie czynić. Tem nie mniej jednak autor ostrzega, że *„lepiej mieć za talar szkody, niźli za grosz na konfuzję się narazić"*.

Złoty ten środek pomiędzy zbytkiem a koniecznością ujęty jest w następującej formule: na osób dwanaście — jedna misa potraw i półmisków dwanaście; dwadzieścia cztery osób — dwie misy i dwanaście potraw po dwa półmiski, i t. d. w rosnącej progresji, aż do dwustu osób i wyżej, dla których potrzeba dwudziestu pięciu potraw na 20 mis rozłożonych i pięćdziesiąt półmisków.

Memorjał generalny wszystko ma na uwadze. — I jakość napojów i kolejność ich podania, by nie mogły gościom *„obmierznąć*, gdy chwila przyszła właściwej biesiady", *za którą po spożyciu jadła najmniej pięć do sześciu godzin spędzano przy kielichu"* (jedyną przy tej uczcie zakąską — były grzanki smarowane oliwą, o których przygotowaniu, jako nie wymagających kunsztu wielkiego imć pan Czerniecki nie wspomina).

Memorjał i instrukcje zakończone są oryginalnym dopiskiem, charakteryzującym intencje autora: *„a tak będzie — powiada z ukontentowaniem— mierny zbytek temperowany wczesnym dostatkiem"*.

O mierności zbytku dowiadujemy się z następnych rozdziałów, poświęconych samej sztuce kulinarnej. Przedtem jednak czytamy jeszcze kilka uwag *„o powinności, jak baczyć na wygody gości, a pana nie turbować, by mu cholerycznego nie dodać humoru"*. Dowiadujemy się również, iż każdemu cudzoziemcowi, podać wypada wedle smaku i obyczaju właściwemu jego pochodzeniu.

Rozdział pierwszy dzieła imci pana Czernieckiego poświęcony jest opisowi 100 potraw mięsnych, wśród których czytamy o tak niezwykłych, jak o cąbrze z żubra.

W rozdziale drugim mowa jest o 100 potrawach rybnych, wśród których najpierwsze miejsce przeznaczono łososiowi, *„naysubtelnieyszemu w smaku"* podanym na żółto — po królewsku (sos czyli polewka zaprawiona szafranem).

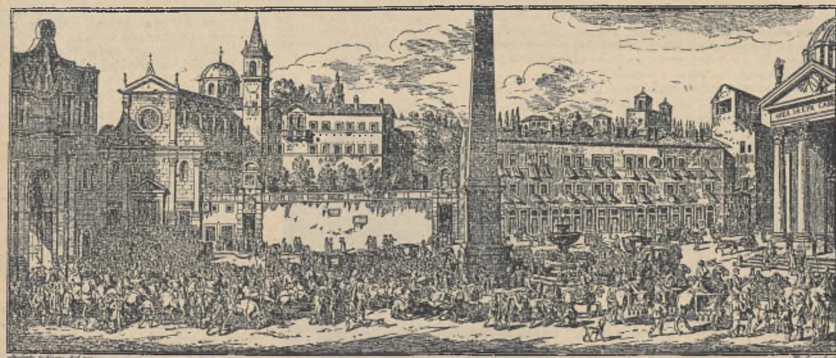
W rozdziale trzecim autor traktuje o stu potrawach mlecznych — o pasztetach, ciastkach, a nawet o niektórych zupach: *„potażach"*. A więc naprzykład — barszcz, zwany królewskim, na którego sporządzanie użyć należało żytnich otrąb, ryby w różnych gatunkach, cebuli, śledzi moczonych, grzybów suchych, krup tatarczanych, kminku i soli. *„Warz to społem, a kosztuj, soli wedle smaku dodawszy, daj na misę"*.

A oto szczególna recepta na rosół wzmacniający dla chorych: wchodziło tu ćwierć barana, kapłon, kuropatw 4, pieczeń jelenia lub wołowa — *„wszystko narożnie obracane i kłute"*, z tego polewka wyciśnięta wlewa się w naczynie szklane *„bez śruby"*; dodać w tem miejscu sznur z pereł i jeden czerwony złoty, zawiązać *„mecherzyną"*; tak ważyć w wodzie na ogniu przez godzin cztery. Podać gorącą łyżkę lub półtorej najwyżej choremu na czczo i przykryć by się spocił. Czerwony złoty i perły — dodaje przezorny kuchmistrz — schować. Nie trzeba tego sekretu zażywać w jednej chorobie więcej niźli jeden raz, a chory „uzna meljorację, jeżeli się zdrowo wypoci".

Nazwy potraw spotykamy przeróżne, a wszystkie wyszukane, jak naprzykład *„miskolancyę"*, *„ryby w Maćkowej jusze"*, *„pryszki na zimno"* (*„uszy lub pysk daniela, jelenia lub wołu), „frytatę"*, *„arkas"*, *„obermus"* i wiele innych.

Wśród ciepłych dań obowiązywała zupa grochowa („naturaliter" o ile nie było cudzoziemców). *„Cieszy się ona specjalnym faworem, a do misy dawać należy wielki kawał wieprzowiny, krayany na drobne cząstki, by nie żuyąc wcale połykać"*.

Umiar zalecany przez imć pana Czernieckiego bywał przekroczony, gdy przystojnie gości z powodu jakowegoś wyjątkowego święta przyjąć należało. O podobnym festynie czytamy szczegóły odnoszące się do wystawy dworskiej w Łańcucie. Kucharzy jednych urzędowało 75-u *„a tych wożono z różnych miejsc, z Warszawy, z Krakowa y Lwowa"*, kuchen było 4, pasztetników — 6-u, cukierników (Francuzów) — 4-ch, którzy wety sporządzali: *„kosztuyące dobrey monety dwadzieścia tysięcy"*. *Prowizji kucharskiej na podobny festyn* trudno poprostu wyliczyć: a więc wołów 60, cielat 300, baranów 500, kurcząt 1500, indyków młodych 1500, prosiąt 120 i t. d. i t. d. Wina wypito 270 beczek węgierskiego i 6 lad włoskiego — białego lub czarnego.



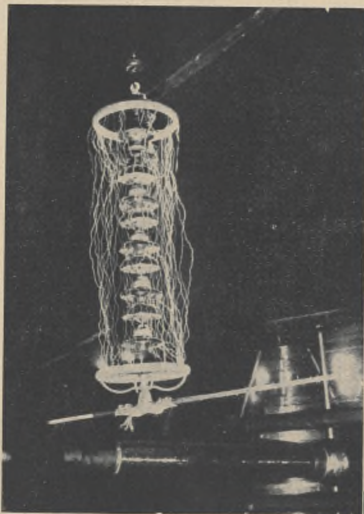
Urbem Ingreditur anno 1680 die 4 Augusti Dux Radzivil Legatus
JOANNIS III. SOBIESKI POLONIAE REGIS AD INNOCENTIUM XI.

(Wjazd Stanisława księcia Radziwiłła do Rzymu w charakterze królewskiego legata.)

Cuda elektryczności



Prąd o wysokiem napięciu przepuszczany przez przewód złożony z szesnastu t. zw. „szpul". Próba dokonana w niemieckiem laboratorjum doświadczalnem.



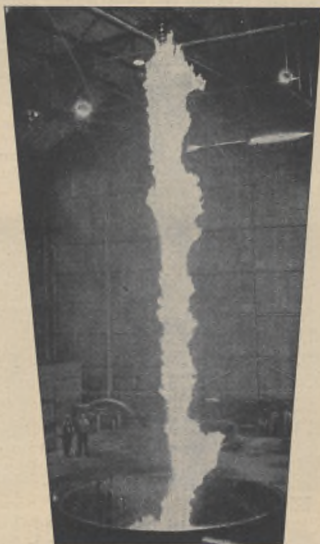
Błysk wywołany przez prąd o napięciu 1 miljona wolt. Zdjęcie zostało dokonane w berlińskiej stacji elektrycznej.



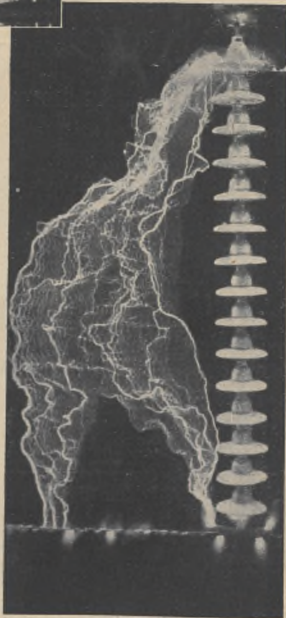
Elektryczna „koronka" wywołana przez puszczenie prądu o napięciu miljona wolt.

Elektryfikacja w dobie dzisiejszej należy do tych gałęzi wytwórczości, z rozwojem których związany jest prawie cały pozostały przemysł. Zagadnienie to poczyniło w naszym kraju poważne postępy. Wytwórczość polskich zakładów elektrycznych nie pokrywa wszakże w czwartej części zapotrzebowania, wynoszącego zgórą 5.200 miljn. kWh rocznie.

Jak wielka doniosłość przypisywana jest elektryfikacji dowodzi znamienny fakt, iż doświadczenia dokonywane w Anglji trzymane są w ścisłej tajemnicy, jako dotyczące obrony krajowej i mobilizacji przemysłu.



Największy błysk na świecie osiągnięty drogą puszczenia prądu o wysokiem napięciu. Fotografja dokonana w słynnych zakładach Westinghause'a



Oryginalny obraz wywołany w berlińskiem laboratorjum wskutek działania wiatru na „koronkę" elektryczną (patrz fot. u góry) przy prądzie 1 miljona wolt.

On, ona i mamut

Dawno temu, przed wiekami, o których historja ma blade pojęcie (cóż dopiero każdy z nas!), kiedy olbrzymi plesiosaurus, podobnie do wdzięcznego łabędzia pływał sobie po powierzchni wód, chwytając to tu, to tam „kąsek" pożywienia, przyczem nigdy nie bywał głodny (jak to się nam dość często zdarza); kiedy potworna bestja ichtiosaurus ciskał się na wszystkie strony, polując na mniejsze potwory i strasząc biednych naszych praojców i matki; kiedy gigantyczne jaszczury o astygmatycznym wzroku przepełzały z konara na konar, bijąc potężnym swym chwostem niezdarnego mamuta po grzbiecie; kiedy kot nie był kotem, lecz lichą imitacją zwierzęcia; kiedy pies nie był psem lecz nieporozumieniem; kiedy koń nie był koniem, lecz rzeczą stojącą na jakichś paluchach i natchnioną krowiem usposobieniem — kiedy wreszcie — a to tylko dla skrócenia tego przydługiego zdania — nic nie było z tego, co dzisiaj widzimy na świecie, żył sobie mały człowieczek, nikczemnej postaci, niejaki Wug.

✳

Wug pochodził z pewnego plemienia, które wyrzekło się go za obmierzłe obyczaje i charakter, zamykające mu przystęp do klubu towarzyskiego. Cóż miał więc począć nieborak? Zabrał ze sobą własny dobytek — niepopularność, przyłączając do niej skradzione narzędzie, a właściwie niezdarną jego imitację — topór kamienny — i znikł w gąszczach lasów.

Ostatni ten fakt wskazuje jednak, że Wug przerastał swych braci poziomem inteligencji — co tu gadać! — był godnym pionierem przyszłej cywilizacji.

Powędrował sobie nasz przyjaciel, przedzierając się przez gąszcze listowia leśnego, a gdzie mógł, dziabnął sobie dla rozrywki i pożywienia jakiego zwierzaka toporem. Szedł tak samotny, oddany swym myślom, aż stanął nad rzeką, a idąc wzdłuż niej, dobrnął do wybrzeża morskiego (nie inaczej postąpiłby każdy z nas, chyba że szedłby w odwrotnym kierunku — ku maleńkiemu źródłu, narażając się na rozczarowanie i przykrą sromotę przed samym sobą).

Wug przebywał dość długo nad morzem, cichy i zrezygnowany, spędzając długie dnie samotności na badaniu szerokiego horyzontu i zbrukanego swego sumienia.

Aż pewnego poranku, kiedy już poczuł, że biedny łeb pęka mu z nudów, a kiszki skręcają się ze wstrętu do postnych obiadów z rybek i różnych paskudztw morskich w rodzaju ostrygi, porwał za topór, zabrał kilka kamieni i zapuścił się wgłąb puszczy, która dochodziła aż do skalistego nadmorskiego urwiska i jaskini, służącej mu za domostwo. Pierwszą upolowaną ofiarą było coś w rodzaju dzisiejszego zająca i już biedaczysko cieszył się ze zdobyczy, gdy wtem spostrzegł przed sobą potworne cielsko mamuta, który na szczęście zdawał się go nie widzieć. Szczęście jednak jest rzeczą przemijającą — więc Wug puścił się co tchu ku swojej jaskini, pędzony przez mamuta, sierdzistą bestję, tem dzikszą, że właśnie przed chwilą doznała zawodu w miłości. Na samym brzegu urwiska Wug prześlizgnął się między głazami, które zasłaniały sobą ścieżynę do jaskini. Mamut, nie mogąc tego wykonać, dziko się rozpędził, stracił równowagę i w idjotyczny sposób spadł na dół, komicznie rozpłaszczając się przed samą Wugową jaskinią.

Cóż robić? co się stało, to się nie odstanie, mamut życiem przypłacił swoją kochliwość, co go doprowadziła do takiego stanu ogłupienia, że nie zdawał sobie sprawy, iż nie łatwo się zatrzymać w pełnym biegu, zwłaszcza gdy się waży pokaźną ilość tonn. Cóż na to Wug? Był zadowolony, bardzo zadowolony na widok tej jatki, która jakby naumyślnie powstała tuż przy jego domostwie.

Wug okazał się nie tyle łakomym, ile poprostu żarłocznym, bo lubo, trudno człowiekowi zjeść za jednem posiedzeniem mamuta, to jednak poczciwina starał się jak mógł, lepiej pewnie i ze zdrowszym apetytem, niżliby każdy z nas mógł to uczynić w podobnych warunkach.

Zajadał więc sobie dzień po dniu, wygrzewając się na słońcu, odpoczywając od czasu do czasu, by zbadać daleki horyzont morski, spoglądając przez lunetę przemyślnie zmajstrowaną z rogu — lub łyknąć grzeczny haušcik wspaniałego napoju, który sobie sfabrykował z dzikiego miodu, ikry i wody.

Piątego rana, kiedy się był przesiadł na drugą stronę mamuta i zdrowo napocząwszy „mamucinę" (takie bowiem miano nadał mięsu zakochanego bydlęcia) — rozłożył się do góry brzuchem, marząc o dalszych dniach beztroskich, usłyszał nagle kroki, zwiastujące obcego przybysza i dziwny, niepojęty śpiew. Człowiek — ani chybi — i wnet się uspokoił, że to nie z jego dawnego plemienia, a to przez zmysł prostej dedukcji, jakoże nikt z jego braci i sióstr nie umiał śpiewać. W miarę zbliżania się głosu — serce Wuga poczęło bić radośniej, gdyż doszedł do przekonania, iż śpiewa... kobieta.

Nie omylił się — osoba rodzaju żeńskiego ukazała się jego oczom — a gdy ujrzała wspaniały festyn z „mamuciny" — zapiała z ukontentowania i nie czekając na zaproszenie zabrała się żwawo do jedzenia. Niewiasty w owych czasach nie gorszy miewały apetyt od mężczyzn, a często nawet i lepszy. To też przez długi czas nie zamienili ze sobą jednego słowa. Morze przypłynęło i odpłynęło, słońce zapadło, nocne ptaki podniosły zwykły swój świergot — a nadzwyczajna ta kobieta wciąż jadła bez przerwy. Wug nawet zdążył zdrzemnąć się uczciwie. Po przebudzeniu — spojrzał przez lunetę na srebrną tarczę księżyca, poczem, przypomniawszy sobie niewiastę, rzucił na nią okiem i stwierdził ze zdumieniem, że wciąż jeszcze zajada, a mamuciny ubyła znaczna porcja.

Chrząknął. Wdzięcznym ruchem zwróciła się ku niemu.

— Na Wielkiego Myśliwca! — zawołała z entuzjazmem — na Potężnego Myśliwca! Na trąbę mamuta! Na kły mamuta! Jak mogliście pokonać taką bestję?

(Piękny ten styl był wówczas w powszechnem użyciu).

Wug — lubo miły człowiek — był przecież paskudnym blagierem. (O tempora, o mores!). Wiedząc, że go na serjo posądzają o pokonanie czterdziestotonowego przodka słonia — skorzystał ze sposobności i opowiedział jej cudną bajkę o niezwykłem polowaniu, którą ocenić może chyba tylko zawodowy sportsmen.

Kobieta słuchała, zagadkowo uśmiechając się do siebie. Pokazał jej olbrzymi odłam skały, którym rzekomo zabił potwora.

Słuchała z coraz większem przejęciem...

Uniesiony krasomówstwem odegrał nawet pantominę, obrazującą straszliwą walkę.

Przyglądała się temu popisowi — może wprawdzie zanadto amatorskiemu — aż nagle powstała i, zarzuciwszy ręce na jego szyję, oświadczyła mu słodko, iż przepada za mamuciną, że postanowiła być... jego żoną — i (o biedny Wugu!) że nazajutrz musi pójść na łowy, gdyż zapas mięsa ma się ku końcowi.

Zapóźno Wug poznał błąd swój straszliwy!

Zapóźno stwierdził, że już po nim!

✳

Trzykrotnie usiłował zbiedz w ciągu miesiąca, za każdym razem jednak słodka małżonka sprowadzała go z powrotem, aż po rozmowie, która miała miejsce po nowej próbie ucieczki, stwierdził z przekonaniem, iż łatwiej się oprzeć mamutowi w galopie, niżli własnej „oblubienicy" (?).

✳

Historja ta zawiera conajmniej trzy moralne nauki. Jakie? Niechaj czytelnik sam się domyśli...

Myśli o wielkości

(Wybrał i przełożył Pejot)

✳

Kto chce wznieść się, nawet mocą rzetelnej zasługi, niech skromność precz odrzuci od siebie. I tutaj świat jest podobny do kobiety: wstydliwością i skromnością niczego się odeń nie uzyska (Leopardi).

✳

Genjusz — to wzmożona potęga miłości. Podobnie, jak miłość, dąży do płodności i tworzenia życia (Guyau).

✳

Człowiek wyższy ma prawo, acz nieoficjalnie, lecz przez samego siebie, pozwolić swemu sumieniu na przekroczenie pewnych przeszkód — jednak wtedy jedynie, gdy tego wymaga realizacja jego idei. (Dostojewski).

✳

Wielkie duchy są podobne do chmur — zbierają poto, aby rozdawać. (Kalidasa).

✳

W sferze umysłowej walczący w pierwszej linji nigdy nie zgromadzi większości dookoła siebie. (Ibsen).

✳

Faktem często spotykanym w życiu ludzi wielkich jest, że właśnie w chwili, w której wszystko zdaje się być stracone, są najbliżsi zwycięstwa. (Romain Rolland).

Czy wiecie że...

...Berlin jest miastem o najintensywniejszem tempie rozwoju na świecie: obszar miasta wynosi 880 klm. kw., tramwaje biegną na przestrzeni 600 klm. przewożąc 835 mil. pasażerów rocznie, kolej podziemna w jednym dniu wielkanocnym przewiozła 2.200.000 osób. Stolica Niemiec posiada 17.000 składów hurtowych, 6.300 instytucyj bankowych, 56 tysięcy sklepów detalicznych i 54 wielkie składy towarowe. Ludność berlińska spożywa 700.000 kg. mięsa i 1.250.000 kg. mąki dziennie.

✳

...zatwierdzono w Ameryce projekt wybudowania muzeum ku czci Franklina. Pomiędzy pamiątkami z czasów walk o niezawisłość Stanów, znajdą się eksponaty sztuki graficznej, której służył Franklin. Kosztorys obliczony jest na 7 mil. dolarów.

✳

...liczba wywróconych słupów gazowych przez samochody paryskie przekracza 400 szt. w ciągu 1-go roku.

✳

...w przewidywaniu olbrzymiej frekwencji zwiedzających Powszechną Wystawę Krajową przygotowano stałe kwatery w Poznaniu na 47.400 osób, przyczem największy w Polsce, specjalnie wybudowany, staraniem miasta, hotel, zawierać będzie 603 łóżka. W związku z P. W. K. przystąpiono do stworzenia filmu p. t. „Cała Polska", który będzie wyświetlany podczas trwania wystawy oraz na całem terytorjum Polski i zagranicą.



Ś. p. Antoni Lange, znakomity poeta polski, jeden z ostatnich przedstawicieli „Młodej Polski", zmarł w tygodniu ubiegłym w Paryżu (Aj. Światowid).



Ruth Hanna Cormick, delegatka stanu Illinois, ma objąć jedną z tek ministerjalnych w nowym gabinecie, tworzonym przez prez. Hoovera (Phot. Atlantic).



B. wiceprezydent St. Zjedn. Dawes, przeznaczony przez prezydenta Hoovera na stanowisko ważne ambasadora amerykańskiego w Londynie (Phot. Atlantic).



Alfred P. Sloan, prezes „General Motors Co", które ostatnio zakupiło za 125 milj. dolarów wielkie zakłady samochodowe p. f. „Opel". (Phot. Atlantic).



Z inicjatywy amerykańskiego „Króla Stali" W. A. Harrimana powstał w Stanach Zjednoczonych trust samolotowy z kapitałem 200 miljonów dolarów (Phot. Atlantic)



Słynny automobilista angielski major Seagrave ustanowił nowy rekord szybkości jazdy samochodowej, przebywając 370 klm. na godzinę (Phot. Atlantic)



Dzielny porucznik armji francuskiej Loiseau, po przebyciu przez pustynię Sahary (17.000 klm) na samochodzie „Bugatti", powrócił do Paryża, entuzjastycznie witany przez liczne tłumy sportowców i kierownika tej firmy samochodowej, w towarzystwie którego widzimy go na tej fot.

W następnym (10-ym numerze) „7 DNI" ogłoszone zostaną warunki specjalnego

KONKURSU ŚWIĄTECZNEGO

Tym razem wśród Czytelniczek i Czytelników „7 DNI" rozlosowanych zostanie

100 FLAKONÓW PERFUM

Znanej marki francuskiej „CORYSE".



Dnia 18-go marca, w przeddzień imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego, odbyła się na placu jego imienia przed gmachem Komendy Miasta w Warszawie uroczysta zmiana warty. Raport odbierał nowy komendant miasta, pułkownik dr. Bolesław Wieniawa - Długoszowski.



Inż. francuski Rodolaase wynalazł ostatnio aparat ostrzegawczy, który zapobiega wszelkiego rodzaju wypadkom kolejowym. Próby dały wyniki zadawalające.



Projekt międzynarodowego grobu Nieznanego Żołnierza, mającego stanąć w Szwajcarji. Grób ten zawrze prochy ze wszystkich pól bitewnych podczas wojny światowej.



Rusztowania pod budowę olbrzymiej „kolejki djabelskiej", jednej z największych w Europie, która stanie na terenach Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu.

Przedświąteczne występy i... występki

„Potokarze" — złodzieje „bazarowi" — „szopenfeldziarze" — „pajęczarze" — fałszerze produktów spożywczych — „opiekunowie" pijaków.

„Zastaw się, a postaw się!"... „Choć bieda, to hoc!"... Zwłaszcza, kiedy Święta Wielkanocne za pasem i kiedy słoneczko przedwiosenne coraz serdeczniej się uśmiecha, jakby chcąc nas przeprosić za swą przydługą zimową abstynencję...

Więc, choć krzywią się kupcy, zrzędząc że „to nie to, co dawniej", ruch przedświąteczny wzmaga się z dniem każdym. W każdym prawie domu odbywa się pranie, trzepanie, mycie, zaciąganie podłóg i inne tego rodzaju przyjemności — a w magazynach, sklepach, na targowiskach, w tramwajach i na chodnikach ulicznych tłok coraz większy. Wszyscy śpieszą się, niecierpliwią, popychają, denerwują — a wśród tego rozgorączkowanego tłumu uwija się, zwinny jak piskorz, fachowiec-złodziej, korzystając z każdej nadarzonej sposobności, z najmniejszej chwili nieuwagi, aby zebrać obfity plon przedświąteczny...

Najniższa kategorja tych ptaków niebieskich, które nie sieją, ani orzą, lecz żerują na naiwności ludzkiej — to „potokarze", których specjalnością jest okradanie wozów chłopskich. Dzielą się oni na „nocnych" i „bazarowych". „Nocni" grasują na drogach i szosach podmiejskich, najczęściej w pobliżu zajazdów. Wystarczy, aby kmiotek, ukołysany miarowym turkotem, zdrzemnął się na chwilę, lub zaszedł do zajazdu „na jednego", aby „potokarz" śmiałym susem dopadł jego wozu i porwał z niego co się da: kożuch, derkę, kilka osełek masła, lub nawet wór ziemniaków — znikając ze zdobyczą w ciemnościach nocy. Lecz długoletnia bolesna nauka nie poszła w las — od pewnego czasu chłopi podmiejscy nie jeżdżą już „w pojedynkę", lecz łączą się w grupy po 10 — 15 wozów. Przed pierwszym wozem idzie pieszo „awangarda" — woźnica z ciężkim orczykiem lub dębczakiem w ręku. Za ostatnim wozem postępuje podobnie uzbrojona „arjergarda". A wiadomo, że nasz chłop w obronie swego dobytku dobrze młócić potrafi — więc padł popłoch na „nocnych potokarzy", których szeregi rzedną z dniem każdym.

Wyższy gatunek „potokarza" to złodziej „bazarowy", pierwszorzędny znawca duszy naszego kmiotka. Zajechał np. chłop na plac targowy, wyprzągł szkapę, nasypał jej obroku do worka i zostawiając babę na wozie, poszedł się rozejrzeć po sąsiadach. Jak kwoka na jajach, szeroko rozsiadła się baba na wozie. Co tylko mogła ogarnąć, przykryła kieckami — i okiem podejrzliwie łypie na prawo i na lewo, gotowa podnieść wrzask okrutny, gdyby dojrzała coś podejrzanego. Aż tu trąca ją jakiś nieznajomy:

— Gospodyni, he, gosposiu! Zgubiliście pieniądze!

Nasrożyła się nieufnie, lecz słowo „pieniądze" obudziło jej ciekawość.

— Jakie tam pieniądze?

— Tu leżą, przy samym wozie. — Może to „wasz" rozsypał? — i nieznajomy znika w tłumie.

Babę aż coś z miejsca podnosi. Nie wytrzymała i, zapomniawszy o przestrogach mężowskich, zlazła z wozu i rozpoczęła skrzętne poszukiwania. Odlaboga! nie cyganił „poczciwy" nieznajomy — bo przy jednem kole błyszczy niklowa dziesięciogroszówka — a tam, z drugiej strony, widać dwie inne. Schyla się więc skwapliwie — a tymczasem wspólnik „bazarowego" ściąga z wozu, co się da...

Przyznać trzeba, że pomysły złodziei „bazarowych" są często bardzo dowcipne. Niedawno do jednego z wozów chłopskich podeszło trzech młodzieńców. Jeden z nich przechwalał się głośno swem silnem uzębieniem:

— Dyszel zębami wyciągnę, jak zapałkę!

Dwaj inni pokpiwali z niego wesoło, wciągając do rozmowy siedzącą na wozie gospodynię.

— Zakład! — zaperzył się chwalipięta — o butelkę!

Wzięli gospodynię na świadka, młodzian wpił się w dyszel zębami, rozstawił nogi szeroko, stęknął i zaczął ciągnąć...

— O, rusza się, rusza!

Podniosła się gosposia ze swego siedzenia, aby zobaczyć owe „sztuki" — a za chwilę płakała rzewnie, spostrzegłszy brak kilku osełek i kożucha...

W okresie przedświątecznym daje się również we znaki wzmożona działalność złodziei sklepowych, t. zw. „szopenfeldziarzy". Nie operują oni pojedyńczo, lecz po 2 — 3, co w gwarze złodziejskiej zwie się „rakietą". Jeden z nich ukrywa pod płaszczem obszerny worek na skradzione przedmioty („kieszeń"), lub kilka specjalnych haczyków — pozostali odgrywają rolę „świec", których zadaniem jest odwrócenie uwagi sprzedawcy od głównego aktora złodziejskiej imprezy. A oto dwa typowe kawały „szopenfeldziarzy".

Do nowego składu materjałów jedwabnych przyszła jakaś przyzwoicie prezentująca się para małżeńska. Pan małżonek, nadzwyczaj grzeczny i, jak to się mówi: „zgodnego usposobienia", zyskał sobie odrazu sympatję subjektów. Znalazł słówko pochwały dla każdej sztuki materjału i namawiał żonę na jej kupno, wyciągając co chwila pękaty portfel z kieszeni. Niestety! „żona" jego, nerwowa, krzykliwa, wybredna, przerzuciwszy połowę sklepu do góry nogami, nie znalazła w nim nic odpowiedniego i wyszła, trzaskając drzwiami — a za nią wysunął się potulnie „pan małżonek", smutnym uśmiechem przepraszając subjektów za zawód. Żałowali go też serdecznie, dopóki nie spostrzegli braku trzech sztuk jedwabiu, wartości paru tysięcy złotych...

Kilka tygodni temu pojawiła się w żydowskich dzielnicach Warszawy nowa „rakieta szopenfeldziarska", składająca się z trzech osób: czcigodnego brodacza, odgrywającego rolę krawca i dwuch eleganckich młodzieńców. „Krawiec" zachodził do sklepu z manufakturą, zapowiadając przybycie dwuch „fajn klientów" i umawiając się — odwiecznym zwyczajem — o „faktorne". Po godzinie wracał w towarzystwie „klientów". Rozkładano przed nimi jedną sztukę towaru po drugiej — „krawiec" chwalił, namawiał, przymilał się, zabierał się nawet do wzięcia miary — wszystko napróżno! „Klienci" jakoś nie mogli się zdecydować — i po chwili cała trójka opuszczała magazyn unosząc pod płaszczami kilka sztuk skradzionego sukna...

„Szopenfeld" nie jest przywilejem płci męskiej — i w tej dziedzinie panuje zupełne równouprawnienie. Ostatnio jednak szala przechyliła się na korzyść mężczyzn, gdyż moda coraz krótszych sukienek zmniejsza, z dniem każdym pojemność najlepszych schowków złodziejek sklepowych... Najchętniej też „szopenfeldziarki" kradną „na parasolkę". Sztuczka polega na zawieszaniu wpół-otwartej parasolki na kontuarze i wrzucaniu do niej drobnych przedmiotów, jak rękawiczki, koronki i t. p.

„Wielkie pranie", ta specjalność okresów przedświątecznych, podnieca apetyty złodziei bielizny, zwanych „pajęczarzami".

Jak wszyscy inni złodzieje, mają „pajęczarze" swych „wywiadowców" — zazwyczaj żebraków lub domokrążców. Zapoznawszy się dzięki nim z fotografją przyszłej areny działania, operują w biały dzień, zaopatrzeni w specjalne „szperaki" (wytrychy). Dostawszy się na strych, rozbierają się do naga, owijają się mokremi sztukami co najdroższej bielizny i, wdziawszy zpowrotem ubranie, wychodzą najspokojniej na ulicę — o ile nie natkną się po drodze na jakiegoś dzielniejszego dozorcę.

Wzmożony w okresie przedświątecznym popyt na produkty spożywcze — to woda na młyn fałszerzy masła, grzybów i miodu. Fałszerzy detalicznych i hurtowników. Do pierwszych należą nasi kmiotkowie, najczęściej fałszujący masło osełkowe przez włożenie do osełki bryły twarogu lub ciężkiego brukowca, oblepionego z wierzchu warstwą masła — lub miód, który fabrykują z patoki albo syropu kartoflanego. Są również „specjaliści", którzy potrafią podwoić wagę tak drogiego artykułu, jak grzyby suszone, naszpikowując je w stanie surowym ciężkim żwirem.

Jak praktyka wykazuje, najgorsze masło kupują... najlepsze gospodynie, te odwieczne amatorki masła „wiejskiego". Jeśli szukają masła „świeżego" — trafią na masło przerobione z wodą, zawierające minimalny procent tłuszczu. Jeśli pragną masła tłustego — otrzymają masło stare i zepsute. Dlatego też radzimy wszystkim Czytelniczkom „7 Dni", aby pozbyły się zwyczaju „smakowania" masła po sklepikach i targach i kupowały odtąd tylko masła firmowe wyłącznie w większych magazynach.

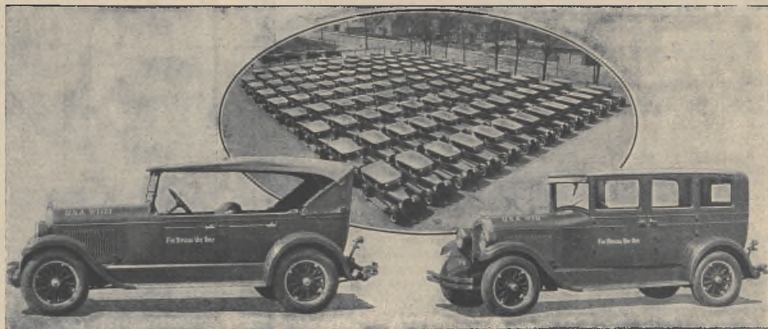
Na zakończenie — mały sentymentalny obrazek świąteczny. Z gościnnego domu przyjaciół wytacza się na ulicę jakiś jegomość pod dobrą datą. Świeże powietrze, zamiast otrzeźwić, rozmarza go do reszty. Widać, że niewiele brakuje, aby dał za wygranę i rozłożył się na chodniku ulicznym, jak na puchowej pościeli. A wtedy — wiadomo! — policjant, protokuł, komisarjat, wogóle cała masa nieprzyjemności. Lecz oto jakaś „dama" w bajecznie kolorowym kapelusiku zbliża się do chwiejącego się przechodnia. Pełnym litości gestem bierze go pod rękę i wolnym krokiem doprowadza do taksówki.

— Odwiozę pana, dobrze?

Pijak bełkoce słowa zgody i podzięki. Wsiadają. Na którymś rogu „dama" zatrzymuje taksówkę, żegna się czule ze swym protegowanym i znika „jak sen jaki złoty" — a wraz z nią ulatnia się portfel i zegarek nieszczęsnej ofiary alembiku...

Mi-mo.

Chlubne wyróżnienie



Typy samochodów Chrysler nabyte przez rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Chrysler — jest to jedna z „najmłodszych" marek samochodowych, mimo to niema na całej kuli ziemskiej automobilisty, który nie miałby należytego uznania dla tych znakomitych wozów. Pracując przez szereg lat na kierowniczych stanowiskach, w największych fabrykach samochodowych Ameryki, p. Walter Chrysler swe olbrzymie doświadczenie wyzyskał we własnych zakładach, wytwarzając typ samochodu solidny w budowie, praktyczny w użyciu, luksusowy w wykończeniu i... tani w nabyciu.

W latach ostatnich Chrysler okazał się najgroźniejszym współzawodnikiem we wszystkich zawodach samochodowych, w szczególności zaś w takich, w których warunki drogowe i atmosferyczne wymagały od samochodu największych zalet. Wystarczy przypomnieć, iż zespół samochodów Chrysler po raz pierwszy zdobył istniejącą i przez szereg lat niezdobytą nagrodę Automobilklubu Polski za raid dokoła kraju bez punktów karnych.

Nie poprzestając na tem polska reprezentacja Chryslera w ubiegłym roku zorganizowała próbę wytrzymałości pod kontrolą czynników urzędowych. Próba na przestrzeni około 13.000 kilometrów, które samochód przebył bez wypoczynku (z kilkuminutowemi postojami dla uzupełnienia zbiorników), dała wyniki znakomite — urzędowa komisja stwierdziła doskonały stan samochodu po próbie i minimalne zużycie części silnikowych.

Szereg zwycięstw w zawodach zachodnio-europejskich spowodował we wszystkich krajach, nawet posiadających rozwinięty przemysł własny, wielką popularność Chryslera, produkowanego w czterech odmianach: Imperial, „75", „65", i „55" (Plymouth).

Najbardziej jednak jaskrawym dowodem wartości użytecznej samochodów Chryslera jest fakt, że rząd Stanów Zjednoczonych A. P., mając do dyspozycji kilkadziesiąt marek samochodowych dla swych urzędów i agend, nabywa właśnie samochody Chryslera, które spełniają swe zadanie znakomicie, równie dobrze pracujące na piaszczystych bezdrożach Texasu, jak i na gładkim asfalcie 5-ej Avenue.



Park samochodowy przeznaczony dla rządu amerykańskiego w chwili przekazywania odnośnym władzom.

Święcone...

Opowiadała mi kierowniczka jednej ze szkół powszechnych, że kiedy przed kilku laty wprowadzono w ostatnich oddziałach tych szkół naukę gospodarstwa, to matki dziewcząt, nie pozwalały im chodzić na lekcje, twierdząc, że nie chcą, aby ich córki zostały kucharkami!

Coby powiedziały owe niemądre kobieciny, gdyby się dowiedziały, że nauka kucharstwa jest obecnie i w starej Europie i „w młodej" Ameryce ostatnim krzykiem mody, że na kursy kulinarne uczęszczają nietylko żony i córki bogatych ziemian i przemysłowców, panie utytułowane i, miljarderki, lecz nawet księżniczki krwi.

Szał kulinarny ogarnął cały świat. Przyrządzaniu wymyślnych przysmaków oddają się gwiazdy sceny i ekranu, rywalizując inwencją w urozmaicaniu własnemi rączkami przyrządzonych delicyj i nadając swym wynalazkom przeróżne fantazyjne miana lub własne nazwisko.

Nie powiem, aby mi do serca lub do podniebienia bardzo przemawiały sałaty z mimozy lub chryzantemów — ananasy i brzoskwinie polane sosem majonezowym i posypane czerwoną papryką i zieloną pietruszką. Nie palę się również do przeraźliwie cebulastej kuchni Józefiny Backer, podanej w jej memuarach. Natomiast mam nieograniczone zaufanie do smaku i gustu mych rodaczek — Polek. Jeżeli zechcą złożyć swój wykwintny smak i gust na ołtarzu gastronomji, jestem pewna, że potrafią dokazać cudów. I kiedy zapanuje u nas wreszcie wszechwładna moda własnoręcznego gotowania, Polska będzie krajem, gdzie się będzie jadło najlepiej na świecie.

Na wszystkie te smakowite rozmyślania pchnął mnie, że tak powiem, ów czas przedświąteczny, kiedy nawet dawniej, gdy wejście do kuchni było uważane bardzo w złym tonie, jednak panie i panienki raz do roku, około Wielkiejnocy, baby



Kilka smakołyków świątecznych: jaja kurze, które, ugotowane na twardo staną pośrodku stołu wielkanocnego (fot. górna) — pyszne mazurki, które chwalić będzie trzeba, jeśli są owocem pracy pięknych rączek kobiecych (fot. po stronie lewej).

...smaczna wieprzowinka, którą pod postacią szynek, głowizn i kiełbas pałaszować będziemy z apetytem (fot. dolna)—i barszczyk buraczany, najlepszy ratunek dla tych, którzy w okresie świątecznym zbyt gorliwie czcili Bachusa... (fot. po stronie prawej)



i placki, torty, a głównie mazurki, raczyły własnoręcznie wyrabiać. Nie mamy, niestety, dokładnych danych historycznych, co do tego, kiedy te wyborne ciasta na stołach wielkanocnych poczęły się pojawiać. Wnosząc z dawnych opisów wspaniałych „Święconych", główną rolę u nich grały niesłychane ilości, fantastycznie sporządzonych i ostro a korzennie przyprawianych dań mięsnych. Zakazów polowania wtedy nie znano, wytępienie zwierzyny nie groziło, więc figurowały na stołach nietylko szynki z dzików i niedźwiedzi, lecz całe pieczone jelenie i daniele z pozłacanemi rogami, głowizny dzików z pozłoconemi kłami — nie mówiąc już o znacznie mniej apetycznych fantazjach, jak olbrzymi pasztet ze zwierzyny, z którego po zdjęciu pokrywy, wyłaził uśmiechnięty — karzeł.

W opisie święconego u któregoś z Radziwiłłów, czytamy, iż jadłem zastawione były aż trzy komnaty. W jednej były dania ze zwierzyny i... sadzawka ze zwykłem winem węgierskiem, w drugiej dania z drobiu i innych zwierząt domowych oraz sadzawka z miodem, w trzeciej baby i placki przeróżne i sadzawka — z małmazją.

Nie sięgając w dal wieków ubiegłych, pamiętam doskonale z lat mego najwcześniejszego dzieciństwa, jak u moich rodziców figurowało z jednej strony pokoju na oddzielnym stole, na Wielkanoc, całe upieczone cielę, ustawiając, jako „pendant", na drugim stole całego upieczonego barana. Do dziś dnia pamiętam jego wspaniałe, pozłocone przez dworskiego stolarza, złotem do orzechów, rogi. Sztuki te, o ile sobie przypominam, miały jednak tylko dekoratywne znaczenie. Zjadały je służba i czeladź dworska, państwo i goście raczyli się zwykłem pieczystem ze zwierzyny i drobiu. Panu domu, wielkiemu smakoszowi, chodziło o to, aby pokazać gościom, że taką sztukę wykonać możemy, — bodaj że rozbierając częściowo największy piec do chleba, lub może budując na ten wypadek piec specjalny.

Mój Boże! Tak dawno to było, że można zapomnieć detali. I dzisiaj, kiedy w wolnej i niepodległej ojczyźnie, przeciętny polski inteligent rozmyśla i kalkuluje



z żoną — czy indyk nie będzie niedostępnym dla niego luksusem, czy mu lepiej poprzestać na cielęcej pieczeni, — wspomnienia takie zdają się być niebywałą, wyśnioną tylko baśnią...

Jeżeli takie wypieczenie całego barana i cielaka były tylko pojedyńczym wybrykiem fantazji i dobrego humoru, to samo przygotowanie święconego, a szczególniej pieczenia bab było doniedawna jeszcze obrzędem uroczystym. Pamiętam, jak babka moja, już na tydzień przed świętami zjeżdżała z miasta na wieś do syna i jak przez cały ten tydzień w oficynie i kuchni odbywały się jakieś tajemnicze misterja. Jak drzwi od kurytarza zamykane były na klucz — bo baby rosły — jak wszystko uciekało z drogi przed kucharzem lub gospodynią niosącemi ostrożnie olbrzymie formy z upieczonemi już babami, aby je ułożyć na przygotowanych i pokrytych serwetami „puchowych poduszkach". A z jakim pjetyzmem oddzielano białka od żółtek mnogich koszy jaj na te baby przeznaczonych. Jak w bójce do masła te żółtka godzinami ubijano. Jak przy nieckach z tak zwanemi pierogami, (mniej wykwintnem ciastem dla służby), dziewki zmieniały się kolejno spocone mięszaniem i ubijaniem.

W rodzinie moich krewnych przechowuje się przepis na tak zwaną od imienin pradziada „Leonardówkę". Aby upiec tę babę, sam pan „marszałek gubernjalny" zjeżdżał na wieś, gdzie gospodarowała jego rodowita małżonka i zamknięty w kuchni z kucharzem przez godzin kilkanaście sam ten specjał wykonywał. Jeśli baba się udała, święta były udane, dobry humor pana i władcy odbijał się na wszystkich i wszystkiem. Lecz biada całemu domowi, jeśli baba opadła lub zgoła nie wyrosła, święta były zepsute, zły humor pana odbijał się na domownikach, służbie, na gościach nawet, którzy wcześniej niż mieli początkowo zamiar wyjeżdżali.

Miałam pisać o święconem współczesnem, tymczasem nie mogę wyjść z zaczarowanego koła reminiscencyj i wspomnień — jakoś o tem współczesnem święconem mi się nie klei. Czyżbyśmy zapomnieli o tradycji wiekami uświęconej i przestali zastawiać stoły i poniekąd objadać się dla jej zachowania. No, nie! Tradycja święconego żyje i jest święcie zachowywana, tylko każdy po swojemu ją dzisiaj pojmuje.

Dawniej młody człowkiek, nie mający własnego domu i gospodarstwa, jeżeli wyszedł po południu z wizytami, mógł być pewien, że zje o pierwszej szynkę na śniadanie i zapije ją koniakiem lub starką u pierwszych z brzegu znajomych, u innych około trzeciej wyborny pasztet, indyka z kompotem i filiżankę barszczu, wszystko zakropione wytrawnym węgrzynem, u trzecich po piątej trafi na kawę z akompanjamentem olbrzymiego wyboru babek, tortów i mazurków, jak też przeróżnych likierów francuskich i domowych. Przychodząc na wieczór do ostatniego domu, a po drodze był jeszcze w wielu innych, w których spożywał mniej do pory dnia dostosowane dania, mógł już tylko pić herbatę z cytryną i wodę sodową.

Dzisiaj zwyczaje domowe niesłychanie się zróżniczkowały. Najwspanialsze są święta u różnych Nowobogackich. U tych, co to niedawno mieli sklepik w robotniczej dzielnicy, mają coprawda święcone, ale przeważnie polegają na tem, co upitrasi miłościwie w danej chwili królujący „parzygnat", która znów uwzględniając gust nietyle swoich państwa, co obecnego narzeczonego, główny nacisk kładzie na schab, kiełbasę i bardzo tłuste prosię. Sam pan dba raczej o sutą wypitkę i sprowadza całe kosze bajecznie kolorowych i jeszcze bajeczniej kosztownych i zabójczych spirytualji. Pani, ciasto wspaniale przyozdobione w róże z cukru i rogi obfitości z marcepanu obstalowuje przeważnie w narożnej cukierni: „Dosyć się naharowałam przed wojną, mogę sobie teraz odpocząć" — mówi. Tacy, co nieco więcej widzieli, dla pewności, aby się nie omylić i w czemś bon-tonowi nie uchybić, wszystko obstalowują w renomowanej restauracji i pierwszorzędnej cukierni. Lecz i ci i tamci starają się przyjąć i częstować obficie ludzi potrzebnych, zaszczyt domowi lub perspektywę dobrego interesu reprezentujących. O ile nie ma panien na wydaniu, młodzież jest w takich domach raczej źle widziana.

Złożenie świątecznej wizyty eleganckiej pani Fifi też nieraz dobrze się nie kończy. I ona obserwuje tradycje. Zrana zjadła z mężem plasterek chudej szynki i jajko na miękko — bo twarde tuczy, — potem męża wyprawiła do krewnych i w salonie ustrojonym w kosz hjacyntów i bukiety wiosennych baśków — jaja ufarbowane stoją na kryształowym talerzu dla nadania odpowiedniego nastroju, — częstuje znajomych panów zabójczymi cocktailami własnego pomysłu i kompozycji. Czasem to przechodzi gładko, — czasem grozi nieobliczalnemi następstwami.

Jeżeli pójść do pani Najdrowskiej, mającej cztery córki na wydaniu, będzie się niesłychanie uprzejmie przyjętym i zmuszonym popróbować conajmniej osiem mazurków, po dwa roboty: Mani, Kici, Heni i Zjuty. Mazurki są wyborne, ale na głodny ząb i po cocktail'u pani Fify mniej pożądane.

U hrabiny Golec-Gołaszewskiej, wspaniały, stary, wyprawowy jeszcze, służący poda na olbrzymiej, herbami zdobnej tacy, herbatkę w filiżance z prawdziwie saskiej porcelany i muślinowe krajanki „koronkowej" babki.

A jeżeli naiwny młodzieniec liczy, że nakoniec się nieco pożywi na herbatce z tańcami u doktorowej Wszędobylskiej, to też się bardzo zawiedzie. Doktorowa z dawnych lat pamięta, że goście w pierwsze święto wieczorem nic jeść nie chcieli i żeby nie rozrzucać półmisków i nie marnować ich zawartości, kazała je przezornie wynieść na balkon a tańczącą młodzież raczy kruszonem z owocowego wina, lemonjadą, no i naturalnie mazurkami najrozmaitszych smaków i kolorów. A restauracje i jadłodajnie są zamknięte!

Mam wrażenie, że nie jednemu kawalerowi myśl o ożenku głęboko zapadnie w duszę, chociażby w połączeniu z marzeniem o gorącym, pachnącym barszczyku, różowej, soczystej szynce, białym jak śnieg plasterku indyka. Przysłowie stare mówi że: „droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek".

E. K.

Postęp i wygoda



Gorączkowe tempo amerykańskiego życia zmusza coraz częściej przestrzegania zasady „czas to pieniądz". Zasadę tę zastosowano nawet do zmywania talerzy, którą to czynność spełnia szybko i dokładnie specjalnie skonstruowana elektryczna maszyna zainstalowana w wielkich hotelach amerykańskich. (Phot. J. Graudenitz).



(Wide World Photos).

Żmudna i nieprzyjemna czynność opierzania drobiu wymaga nieraz wielu rąk, które zostały zastąpione w dużych zakładach gastronomicznych przez specjalną maszynę.



(Wide Worlde).

W Ameryce używa się obecnie do mleka butelek ze specjalnej higjenicznej masy papierowej. Jak wykazały liczne próby, butelki te są praktyczne oraz znakomicie zabezpieczają mleko przed bakterjami.

7 DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK

24 N Palmowa. Tymot.
25 P Zw. NMP.
26 W Emanuela
27 Ś Jana Damasc.
28 C W. Czwartek
29 P W. Piątek
30 S W. Sobota
31 N Wielkanoc.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

słońce		księżyc	
w.	z.	w.	z.
5 57	18 05	16 59	5 41
5 54	18 06	18 13	5 58
5 52	18 08	19 25	6 14
5 50	18 09	20 36	6 31
5 47	18 11	21 47	6 49
5 45	18 13	22 57	7 10
5 42	18 14	—	7 35
5 40	18 16	0 40	8 07

KALENDARZYK SPORTOWY.

Elimin. zaw. zapaśn. przed wyjazd. do Dortmundu, na mistrz. Europy. Katowice, 6 i 7.IV.

Rewanż. mecz. boks. Ran — Riechler — Warszawa 14.IV.

Turn. elemin. Polsk. zw. szermiercz. 23 i 24.III.

Doroczny bieg na przełaj ośrodka W. F. Warszawa, 14.IV.

Posiedz. międz. komitetu Olimp., Lozanna 8-11.IV

Polska ekipa konna (płk. Römmel, rtm. Królikiewicz, por. Szosland, por. Korytkowski, por. Starnawski, por. Kulesza i por. Rojcewicz) wyjeżdża w dn. 28.III do Nicei.

Zamknięto listę zapisów do marszu Sulejówek — Warszawa w składzie 137 drużyn.

Zawody wewnętrzne A. Z. S. oraz bieg na przełaj A. K. S., Warszawa, 23 i 24.III, 6 i 7 IV.

Ustalono trasę wielkiego raidu autom. niemieck. automobilklubu, która przebiegnie m. i. teryt. Polski.

Mecz zapaśniczy Warszawa — Gdańsk odwołany.

Mecz bokserski z Węgrami — 14.IV.

Mecz bokserski Łódź — Warszawa — 24.III.

Szkolne mistrz. gier sport. 14.IV.

MENU

Świąteczne skromne.
Kiełbasa,
Szynka,
Cielęcina,
Schab,
Musztarda,
Chrzan z octem,
Ćwikła,
Borówki,
Konfitury ze śliwek.
Baba parzona,
Placek z kruszonką,
Mazurek kruchy z czekoladową polewą.
Mazurek orzechowy.
Jaja farbowane.
Alembik,
Wiśniówka,
Wino owocowe.
Barszczyk czysty.

Święcone wystawniejsze.

Szynka, ozór,
Cielęcina szpikowana,
Comber barani a la sarna,
Galantyna z pulardy,
Indyk nadziewany,
Sztufada w galarecie,
Sos majonezowy,
Sos „Cumberland",
Sos „Groseille",
Sałata jarzyn. włoska,
Kapusta czerwona,
Kompot mieszany.
Baba warszawska,
Baba cytrynowa,
Tort orzechowy,
Pakowaniec (dziad),
Tort „mocca",
Mazurek cygański,
Mazurek bakaljowy,
Mazurek orzech. z miodem,
Mazurek marcepanowy,
Mazurek czekoladowy,
Jaja farbowane,
Żytniówka i starka,
Śliwowica,
Ponlet - canet,
Sauterne,
Maślacz i miód do ciast.
Barszcz i rosół w filiżankach.

Czego słuchać przez radjo?

Poniżej podajemy Szanownym Czytelnikom wyciągi ciekawszych audycyj Polskiego Radja na najbliższy tydzień, jakie otrzymaliśmy od poszczególnych kierowników programowych „Polskiego Radja".

W dziale muzycznym:

Niedziela, 24.III, godz. 12.10. Transmisja z Filharmonji warszawskiej. W programie fragmenty z dramatu muzycznego „Parsifal" R. Wagnera. Godz. 15.15. Transm. z Filh. warszawskiej. Dyryguje Z. Dymmek, jako solistka wystąpi p. Flora Czarnocka (fortepian). 20.30. Koncert poświęcony muzyce polskiej. Soliści: pp.: Helena Ottawowa (fort.), Zygmunt Mossoczy (bas), prof. L. Urstein (akomp.). **Poniedziałek, 25.III, godz. 17.55.** Transmisja koncertu z Krakowa. Koncert poświęcony muzyce ludowej czeskiej i słowackiej. Soliści: Jan Maudr (kobza), Franja Bousay (skrzypce). Godz. 20.30. Transmisja wieczoru słowiańskiego z Wilna. W programie: Pieśni polskie, ukraińskie, białoruskie, w wykonaniu chóru oraz solistów. Na zakończenie koncertu p. F. Ciechanowicz wykona szereg utworów na cymbałach. **Wtorek, 26.III, godz. 19.50.** Transmisja opery z Teatru Wielkiego w Poznaniu. **Środa, 27.III, godz. 20.10.** Koncert kameralny. Wykonawcy: Adelina Czapska (sopran), Eugenja Umińska-Jaworska (skrzypce), Tomasz Jaworski (skrzypce) i prof. L. Urstein (fortepian). **Wielki Czwartek, 28.III, godz. 20.15.** Transmisja koncertu religijnego z Filharmonji Warsz. Wykonawcy: Orkiestra Filh. pod dyrekcją J. Bojanowskiego, chór męski „Harfa" pod dyr. W. Lachmana, oraz soliści: Stanisława Argasińska (sopr.), H. Leska (alt), Skonieczna (alt), A. Dobosz (tenor), Al. Michałowski (bas) oraz R. Wraga (bas). Godz. 17.00. Trnsmisja z Kościoła OO. Jezuitów w Krakowie. Stabat Mater Verdi'ego. **Wielk Piątek, 29.III, godz. 18.00.** Transmisja koncertu chóru Kolegjaty farnej w Poznaniu. Godz. 19.00. Transmisja koncertu religijnego z kościoła Św. Anny w Krakowie. **Wielka Sobota, 30.III, godz. 18.15.** Transmisja dzwonu z Krakowa. Godz. 20.00. Transmisja Rezurekcji z Katedry poznańskiej.

W dziale literackim:

Niedziela, 24.III, godz. 20.00. P. T. Bocheński odczyta frgm. z „Placówki" Prusa. **Wtorek, 26.III, godz. 18.35.** Transmisja z Poznania. Recytacje utworów współczesnych w wykonaniu artystów teatru Polskiego w Poznaniu. **Środa, 27.III, godz. 21.35** Transmisja autorskiego występu p. Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej z Wilna. **Wielki Piątek, 28.III, godz. 20.30.** Transmisja z Krakowa. Misterjum Wielkanocne. Godz. 21.15. Transmisja z Wilna. Słuchowisko Kasprowicza p. t. „Na wzgórzu śmierci". **Sobota, 29.III, godz. 18.30.** Recytacje z Warszawy na tle dzwonu Zygmunta.

W dziale audycji dla wsi nadana zostanie w dniu, 24.III t. j. w niedzielę o godz. 18.20 audycja ludowa literacko-muzyczna poświęcona A. Asnykowi.

W dziale odczytowym:

Niedziela, 24.III, godz. 19.20. Dr. St. Gumiński wygł. deczyt p. t. „Żałosna historja żubra i jego towarzyszów". **Poniedziałek, 25.III, godz. 17.00.** Transmisja odczytu z Krakowa p. t. „Zasada podziału pracy u zwierząt" wygł. Dr. S. Skowron. **Wtorek, 26.III, godz. 15.35.** Kpt. Miekaniewski wygł. odczyt p. t. „Współczesne środki łączności elektrycznej i ich znaczenie dla wojska i społeczeństwa. **Środa, 27.III godz. 17.00.** Dr. Ignacy Wieniawski wygł. odczyt p. t. „Starożytność klasyczna a człowiek współczesny". **W. Czwartek, 28.III, godz. 15.10.** Dr. Józef Horszowski wygł. odczyt p. t. „Prawo akcjonarjuszów w Polsce" **W. Piątek, 29.III, godz. 17.00.** Dr. Stan. Kopczyński wygł. odczyt p. t. „O bólu głowy". **W. Sobota, 30.III, godz. 16.00.** Prof. Zygmunt Denter wygł. odczyt p. t. „Stosunki feodalne średniowiecza".

Programy szczegółowe w fachowem piśmie „RA-djo".

Skrzynka pocztowa.

Wobec coraz liczniejszych zapytań ze strony Czytelników „7 dni" w sprawie rękopisów nadsyłanych do naszej redakcji, uprzejmie komunikujemy, iż jedynie zamawiane przez nas artykuły i fotografje będą honorowane, odrzucone zaś utwory nie będą zwracane.

„R 26". Nie brak, zapewne, zagranicznych publikacyj, doskonałych w treści i w wykonaniu. Ale składa się na to długoletnia tradycja pism, bogate zasoby materjalne i techniczne — a przedewszystkiem szeroka poczytność. Inaczej jest u nas, zwłaszcza z zamiłowaniem do czytania. Robimy, co możemy i bodajże nawet więcej zrobiliśmy od wielu innych. Mniej krytyki — więcej sympatji, niechajby każdy z dotychczasowych naszych Czytelników mógł nam pozyskać kilku nowych — a z pewnością potrafimy i my dorównać wzorom zagranicznym.

„Ziemowitowi". Dziękujemy za obietnicę, iż żadnego utworu od Pana już nie otrzymamy. Jest to doprawdy największa przyjemność, jaką można było nam sprawić.

P. Szklarskiemu w Starogardzie. Materjały odesłaliśmy pocztą. Fotografje nie nadają się do reprodukcji. Korespondencja rozwlekła.

P. W-i w Toruniu. Nie skorzystamy.

„Zosi" z Czerwińska. Dziękujemy za miły liścik. Numery posłaliśmy według wskazanych adresów i istotnie zyskaliśmy 8 prenumeratorów. Najmilsza to dla nas korespondencja, kiedy zamiast suchego „nie skorzystamy", „nie nadaje się do druku" i t. p., możemy przesyłać wyrazy uznania dla pracy nad rozpowszechnieniem czasopiśmiennictwa polskiego. A mówimy to nietylko w swojem imieniu, ale wszystkich wydawnictw, zasługujących na poparcie.

P. Pawłowskiemu w Łodzi. Wydawnictwo to nabyć można tylko u antykwarjuszów. Nakład wyczerpany oddawna.

P. Sławickiemu w Poznaniu. Obszerniejsze sprawozdania zamieścimy w najbliższej przyszłości. Pragniemy uzupełnić materjał ciekawemi ilustracjami, o które zwróciliśmy się do Zarządu. Przyzna Pan z pewnością, że podanie kilku grup, uśmiechających się do objektywu fotografa, może zainteresować jedynie uczestników zbiorowego zdjęcia.

SOS CUMBERLAND

Najwykwintniejszy ze znanych sosów i może też najbardziej skomplikowany, podaje się przeważnie do ciemnych mięs i zwierzyny, sztufady, baraniny. Pół szklanki galarety porzeczkowej, kieliszek madery, łyżkę utartej cebuli hiszpańskiej lub cukrowej, trochę utartej skórki cytrynowej i pomarańczowej, sok z całej pomarańczy i pół dużej cytryny, na końcu noża papryki, szczyptę imbieru i łyżkę musztardy gotowej. Zmięszać w rondelku postawić na ogniu, mięszać aż się wszystko razem rozpuści i dobrze zagrzeje, — jednak nie dać się zagotować. Ostudzić, wymięszać znowu i przelać do sosjerki.

MAZUREK POMARAŃCZOWY

Dziesięć deka masła utrzeć na śmietanę. Dodawać wciąż ucierając po jednemu trzy jajka całe i po łyżce 10 deka cukru-pudru, 10 deka pszennej i tyleż kartoflanej mąki nakoniec dodać trochę startej skórki cytrynowej, sok z pół cytryny, kawianą łyżeczkę sody, upiec cienko placek w formce papierowej, gdy ostygnie, papier zdjąć i pokryć mazurek następującą masą: 4 pomarańcze i 2 cytryny przepuścić przez maszynę, dodać 2 duże szklanki cukru, gotować, wciąż mięszając od dna aż konfitura zacznie się ścinać. Posmarować prędko na cieście zanim zastygnie. Krajać mazurek dopiero dnia następnego kiedy już są obie warstwy dobrze połączone i warstwa pomarańczowa stwardnieje.

MAZUREK „TOINON".

Osiemdziesiąt deka migdałów obrać z łupin, podprażyć do zarumienienia i zemleć na maszynce; sześćdziesiąt na dwie warstwy ciasta i dwadzieścia do przekładania. Migdały utrzeć z sześćdziesięciu deka cukru - pudru zmięszać z pianą ubitą z ośmiu białek i upiec na dwuch opłatkach równe placki. Dwadzieścia deka masła śmietankowego utrzeć do białości z pozostałemi migdałami z dwudziestu deka pudru-cukru. Posmarować jeden placek, przykryć drugim, przycisnąć deseczką z ciężarkiem na całą noc. Nazajutrz polukrować przezroczystym lukrem ponczowym.



T. E. Lawrence
b. pułk. armji angielskiej

Bunt arabów

(9)

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Pułkownik armji angielskiej T. E. Lawrence udaje się w r. 1916 do Małej Azji, celem stworzenia na tyłach armji tureckiej dywersji zbrojnej ze strony plemion arabskich. W poszukiwaniu przywódcy tego ruchu, któryby zdołał posiąść autorytet „Proroka" udaje się do obozu słynnego wodza Fajsala. Pułk. Lawrence zapoznaje się z Fajsalem, bada stosunki, któreby mu dały możność rozwinięcia akcji dywersyjnej i opisuje szczegóły życia obozowego powstańców. W dalszym ciągu opowiadania Czytelnik zapoznaje się z wodzami arabskimi, którzy chętnie uznają autorytet Fajsala, jedynego w ich oczach człowieka, któryby mógł prowadzić zwycięską wojnę o oswobodzenie kraju. Damaszek jest głównym celem kampanji, której plan zaczyna powoli krystalizować się w głowie Lawrence, zwłaszcza, że jest przekonany o tem, iż kwatera angielska udzieli poważniejszej pomocy. Siły arabskie wyruszają wreszcie na Akabę i odrazu przystępują do akcji bojowej. Pierwsze starcie z nieprzyjacielem przynosi Arabom zwycięstwo. Wkrótce lądują w zatoce Akaby główne siły powstańców wespół z eskadrą lotników angielskich, która niezwłocznie rozpoczyna dalekodystansowe raidy powietrzne w kierunku nieprzyjaciela, wzbudzając szalony popłoch. Pragnąc przerwać komunikację kolejową i sparaliżować ewentualne manewry sił nieprzyjacielskich, Lawrence organizuje wyprawę, mającą na celu zniszczenie toru i wysadzenie dla postrachu pociągu z tureckiemi posiłkami.

Cofnęliśmy się zpowrotem do wzgórza i urządziliśmy szeptem naradę wojenną. Stacja była bardzo długa i składała się z kamiennych budowli tak solidnych, że prawdopodobnie nasze granaty nie wyrządziłyby jej wielkiej szkody. Garnizon liczył prawdopodobnie około dwustu ludzi. Nas było sto szesnaście karabinów i nie panowała między nami zbyt wielka solidarność. Szczęśliwy wynik imprezy mógł zależeć jedynie od zaskoczenia nieprzyjaciela znienacka.

Wkońcu wszakże postanowiłem nie kusić się tym razem o niepewne zwycięstwo.

Dostaliśmy się po cichu do naszych wielbłądów i cały obóz zapadł w głębokiem uśpieniu. Następnego rana cofnęliśmy się na przebytą uprzednio drogę, by osłonić się od strony kolei wyniosłością gruntu i pomaszerowaliśmy na południe przez piaszczystą równinę, upstrzoną śladami gazelli, antylop, strusiów, a nawet w jednem miejscu częściowo zawianemi stopami lamparta. Celem naszego marszu były niskie wzgórza, rysujące się wdali, gdzie mieliśmy wysadzić w powietrze pociąg. Zaal poinformował nas bowiem, że w miejscu, gdzie owe wzgórza stykały się z linją kolei, znajdował się zakręt, nadający się do podłożenia miny i że panujące nad nim wyniosłości były dobrym punktem do urządzenia zasadzki, a nadto przedstawiały wygodne pole obstrzału dla naszych karabinów maszynowych.

Skręciliśmy przeto na wschód i, dążąc przez południowe przełęcze, zatrzymaliśmy się wkońcu o pół mili od toru, w wąskiej na trzydzieści stóp dolince. Kilku z nas poszło pieszo do linji kolejowej, która wyginała się nieco ku wschodowi, celem ominięcia wyniosłości terenu, znajdującego się pod naszemi stopami. Wyniosłość ta przechodziła w płaskowzgórze, wznoszące się na pięćdziesiąt stóp ponad poziom toru i wysunięte wpoprzek doliny ku północy. Szyny leżały na wysokim nasypie, przeciętym w jednem miejscu przez dwu-arkadowy wiadukt, który służył do odprowadzania wody w czasie deszczu. Na oko — idealne miejsce do podłożenia miny!

Powróciwszy do wielbłądów, rozjuczyliśmy je i posłali na bezpieczne pastwisko w pobliżu wykruszałych u dołu skał, z których Arabowie zeskrobywali sól. Wyzwoleńcy znieśli na oznaczone miejsce armatę Stokesa, razem z granatami, karabiny Lewisa, żelatynę z izolowanym drutem, magneto i wszelkie potrzebne narzędzia. Sierżanci ustawili swoje zabaweczki na tarasie, my zaś zeszliśmy na dół do mostu, żeby wykopać zagłębienie między końcami dwóch stalowych podkładów i ukryć tam pięćdziesiąt funtów żelatyny. Odarłszy z papierowego opakowania poszczególne paczki tej groźnej substancji ugnietliśmy je, uprzednio rozłożywszy na słońcu, w trzęsącą się galaretę, w worku od piasku.

Nie łatwo to było zakopać. Nasyp był stromy i w osłoniętem zagłębieniu między nim i bokiem wzgórza leżała nawiana przez wiatry ławica piasku. Tylko ja jeden przeszedłem przez nią, stąpając możliwie ostrożnie, pomimo to na jej gładkiej powierzchni pozostawiłem nieuniknione duże odciski stóp. Ziemię wykopaną z pod szyn musiałem zabierać w płaszcz, co się naturalnie nie dało uskutecznić za jednym nawrotem i wysypać pod wiadukt, gdzie spływająca po żwirowatem podłożu woda zniosła ją na dół.

Wykopanie dołu i przysypanie ładunku zajęło mi prawie dwie godziny. Potem przyszła kolej na trudną pracę odwinięcia ciężkich drutów i przeciągnięcia ich od zapalników do wzgórz, skąd mieliśmy, zapomocą prądu elektrycznego zapalić minę. Piasek z wierzchu był stwardniały i celem zakopania przewodników trzeba go było rozkopywać. Druty były sztywne i porysowały sfalowaną wiatrem powierzchnię długiemi linjami, podobnemi do śladów fantastycznie cienkich i ciężkich wężów. Wciśnięte w piasek w jednem miejscu, podnosiły się w powietrze w drugiem, tak, że wkońcu musieliśmy je poprzygniatać odłamami skał, które zkolei trzeba było przykrywać ziemią, kosztem długiego kopania i naruszenia terenu.

Wreszcie okazało się koniecznem zatarcie śladów naszej roboty zapomocą worka z piaskiem i zrównanie ich z falistą powierzchnią otaczającego terenu. Dęcie w miech i machanie mym płaszczem posłużyły do nadania miejscu naszej podstępnej roboty naturalnego pozoru zamiatanej wiatrem płaszczyzny. Cała rzecz zajęła nam pięć godzin czasu, ale zato zrobiona była bez zarzutu. Ani ja, ani żaden z mych towarzyszy nie mogli dokładnie wskazać, gdzie znajdował się ładunek i podwójne druty, prowadzące odeń pod ziemię do punktu zamierzonego wybuchu o 200 jardów dalej, za wzgórzem, gdzie mieli się ustawić nasi strzelcy.

Druty były dostatecznie długie, żeby sięgnąć od tegoż wzgórza do zagłębienia. Tutaj sprowadziliśmy obydwa końce i połączyliśmy je z zapalarką elektryczną. Było to idealne miejsce i dla instrumentu i dla człowieka, który miał wysadzić minę, tylko miało tę wadę, że nie było stąd widać samego mostu.

Jednakowoż można było łatwo temu zaradzić, postawiwszy kogoś na straży o pięćdziesiąt jardów dalej, w punkcie, z którego było widać wiadukt i końce drutów. Ten ktoś miał dać sygnał do naciśnięcia rączki zapalarki. Salem, najlepszy niewolnik Feizala, poprosił o wyznaczenie mu tej honorowej funkcji i otrzymał ją przez aklamację. Koniec południa upłynął na uczeniu go (na wyłączonej zapalarce) jak ma się z nią obchodzić, dopóki nie wyćwiczył się należycie i nie spuszczał rączki dokładnie w tej samej chwili, gdy ja podnosiłem rękę na znak, że imaginacyjna lokomotywa znajduje się na moście.

Powróciliśmy do obozu, pozostawiwszy jednego człowieka na straży przy linji. Ujrzawszy opuszczone bagaże, rozejrzeliśmy się ze zdumieniem naokoło, gdzie się podziała reszta partji i nagle spostrzegliśmy naszych Beduinów siedzących rządem na szczycie wysokiego wzgórza i rysujących się wyraźnemi sylwetkami na tle

(d. c. na str. 17).

złocistej łuny zachodzącego słońca. Krzyknęliśmy na nich, żeby się natychmiast pokładli, lub zeszli na dół, oni wszakże ani myśleli słuchać, lecz w dalszym ciągu sterczeli uporczywie na swej grzędzie, niby gromada zakapturzonych wron, widocznych zdaleka od południa i od północy.

Wkońcu pobiegliśmy do nich i ściągnęliśmy ich z linji nieba, niestety! zapóźno, gdyż tymczasem zauważyli ich Turcy z małego górskiego posterunku koło Hallat Ammar, leżącego o cztery mile od nas na południe i zaalarmowani, otworzyli ogień w kierunku długich cieni, które zachodzące słońce przesuwało stopniowo przez zbocza ku posterunkowi. Beduini, chociaż skończeni mistrze w sztuce wyzyskiwania właściwości terenu, w swej niewzruszonej pogardzie dla Turków, nie chcieli sobie zadawać trudu prowadzenia z nimi walki. Krawędź wzgórza widoczna była jednocześnie i z Mudowwary i z Hallat Ammar i to nagłe ukazanie się złowieszczych, jakby wyczekujących i czuwających postaci na tle nieba, wywołało panikę w obu miejscach.

Zapadła ciemność. Wiedzieliśmy, że przyjdzie nam przespać cierpliwie noc, w oczekiwaniu na jutro, z nadzieją w sercach, że się czegoś doczekamy.

ZWYCIĘSTWO I ZDOBYCZ.

Zaświtał nieznacznie dzień. Płynęły godziny, a my siedzieliśmy, śledząc bacznie pustą linję kolejową i najbliższą okolicę. Zaal i jego kulawy kuzyn, Howeimil, czuwali niezmordowanie, abyśmy nie wychylali się z ukrycia, działo się to wprawdzie z wielkim nakładem trudów i kłopotów z powodu nadmiernej ruchliwości Beduinów, którzy nie potrafią usiedzieć spokojnie dziesięciu minut, zawsze kręcą się nerwowo w miejscu, rozmawiają, lub coś majstrują. Ta właściwość czyni ich o wiele gorszym materjałem bojowym od niewzruszonych Anglików, zdolnych do przetrzymywania długich, nudnych, a pełnych napięcia okresów cierpliwego wyczekiwania. To wyjaśnia po części ich chwiejność w akcji obronnej. Tego dnia rozgniewali nas nie na żarty.

I Turcy ostatecznie dostrzegli nas zapewne, gdyż o godzinie dziewiątej, z namiotów na wzgórzu, koło Hallat Ammar, na południe od nas, wyszło ze czterdziestu ludzi i posunęło się ku nam w rozwiniętym szyku. Gdybyśmy ich nie zaatakowali, w ciągu godziny zmusiliby nas do cofnięcia się do naszej miny, w razie zaś gdybyśmy dzięki przewadze liczebnej zmusili ich do odwrotu, spostrzeżonoby się na kolei, że się na coś zanosi i wstrzymanoby ruch pociągów. Sytuacja była niezmiernie kłopotliwa, spróbowalibyśmy zaradzić jej, posławszy trzydziestu ludzi na spotkanie nieprzyjacielskiego patrolu, celem zahamowania go w marszu i ewentualnie odciągnięcia niepostrzeżenie na bok, między poszarpane wzgórza. Krok ten mógł spowodować ważne dla nas następstwa mianowicie zakryć przed ich wzrokiem naszą główną pozycję i utwierdzić ich w przekonaniu, jakobyśmy rozporządzali nieznacznemi siłami i nie przedsiębrali nic poważnego.

Przez kilka godzin wszystko szło tak, jak przewidzieliśmy. Strzelanina stawała się coraz bezładniejsza a echa jej dolatywały z coraz większej dali. Od południa przymaszerował regularny patrol kolejowy. Minął nasze wzgórze, przeszedł po minie i, nie zauważywszy nas, podążył w stronę Mudowwary.

Południe przyniosło nam nową kłopotliwą niespodziankę. Przez moje potężne szkła polowe ujrzeliśmy setkę żołnierzy tureckich, którzy, wymaszerowawszy ze stacji Mudowwara, podążyli przez piaszczystą równinę prosto ku naszej kryjówce. Szli bardzo wolno, niewątpliwie z wielką niechęcią, źli, że ich ominie ulubiona południowa drzemka. Jednakże nawet przy najpowolniejszem tempie marszu i przy najgorszych humorach, trudno było przypuścić, żeby dotarcie do nas mogło im zająć więcej niż dwie godziny czasu.

Zaczęliśmy się pakować, w gotowości do odwrotu, zdecydowani pozostawić na miejscu minę i przewodniki, w nadziei, że może ich Turcy nie znajdą, a nam uda się powrócić i wykorzystać całą tę skomplikowaną robotę. Posłaliśmy gońca do kryjącego nas od strony południa oddziału, z nakazem, żeby się z nami połączył, w pewnej stąd odległości, blisko owych spękanych skał, za których osłoną pasły się nasze wielbłądy.

Ledwie zdążył zniknąć, kiedy nasz wartownik zawołał, że nad Hallat Ammar wzbijają się kłęby dymu. Ja i Zaal wbiegliśmy pędem na wzgórze zobaczyć, co się święci, i stwierdziliśmy, sądząc po kształcie i wielkości pasma dymu, że na stacji czeka pociąg. Staraliśmy się dojrzeć go ponad przesłaniającemi widok wzgórzami, gdy nagle ruszył w naszym kierunku. Krzyknęliśmy do Arabów, żeby czemprędzej wracali na stanowiska. Nastąpiło zamieszanie, wszyscy jęli wdzierać się po skałach i piasku. Lewis i Stokes, którym przeszkadzały żołnierskie buty, nie mogli naturalnie zwyciężyć w tym wyścigu, ale przecież i oni wdarli się jakoś po zboczu, zapomniawszy o boleściach i dyzenterji.

(d. c. na str. 18).

Ludzie z karabinami ustawili się długim szeregiem za wyniosłością, biegnącą od stanowiska Stokesów i Lewisów, mimo zapalarki do ujścia doliny. Z poza tej osłony mieli ostrzeliwać wykolejone wagony, z odległości mniejszej od stu pięćdziesięciu jardów, podczas gdy donośność karabinów i moździerzy Lewisa i Stokesa wynosiła około trzystu jardów. Jeden z Arabów stanął wysoko ponad ich pozycją i donośnym wrzaskiem powiadamiał nas o manewrach pociągu. Była to nieodzowna ostrożność, gdyż w razie, gdyby wiózł wojska i wysadził je poza naszym mostem, nie pozostawałoby nam nic innego jak błyskawicznie wycofać się doliną, aby nie dać się otoczyć. Na szczęście gnał on całą siłą pary, proporcjonalną do dwóch lokomotyw i drewnianego paliwa. Nieprzyjaciel, podjechawszy do miejsca, gdzie jak przypuszczał, moglibyśmy się znajdować, otworzył ogień na chybił trafił w kierunku pustyni. Siedząc na pagórku koło mostu, by dać sygnał wysadzenia miny, słyszałem zbliżający się huk i łoskot nadjeżdżającego pociągu. Salem tańczył na kolanach naokoło zapalarki, płacząc ze wzburzenia i prosząc usilnie Boga, aby wysiłek jego nie poszedł na marne. Ogień turecki był bardzo silny.

W tejże chwili na zakręcie pojawiły się z przeraźliwem gwizdaniem dwie ogromne lokomotywy. Za niemi toczyło się z hukiem dziesięć wagonów, ze sterczącemi w drzwiach i oknach lufami karabinów. Na dachach, założonych workami z piaskiem, siedzieli Turcy z bronią gotową do strzału.

Kiedy początek drugiej lokomotywy znalazł się na moście, dałem sygnał Salemowi. Rozległ się przerażający huk i tor zniknął mi z oczu poza straszliwym wytryskiem czarnej kurzawy i dymu, sto stóp szerokim i tyleż wysokim. Z ciemności doleciał szczęk, trzask i długie metaliczne dzwonienie pękającej stali, podczas gdy na wszystkie strony prysnął grad odłamków żelaza, blachy i t. p. Z ciemnej kolumny wyleciało w górę całe koło lokomotywy i, zawirowawszy na tle nieba, przesunęło się z muzycznym brzękiem nad naszemi głowami, by spaść ciężko i powoli na leżącą poza nami pustynię.

(d. c. n.)



Karawana w pustyni.

HUMOR

— W nic nie wierzę — wszystko jest przesąd. Nie modlę się, nie chodzę do synagogi, jedno tylko: poszczę na Jom-Kipur... Ot tak, na wszelki wypadek...

— Panie dyrektorze! Możeby lepiej było gdyby kelnerów uperfumować — to goście nie poznają, że rybę czuć.

Odwilż?

Jak traktują gościa, który odważy się zażądać obiadu „urzędowego".

DRUGA
WIELKA PREMJA 7 DNI

Wydawnictwo „7 DNI" przeznaczyło dla wszystkich swych Czytelników szereg cennych premij. Wartość każdej premji dochodzi do sumy 1000 zł. i wyżej. Premje te zostaną rozlosowane kolejno w obecności notarjusza i Czytelników „7 DNI". Drugą premją będzie

wspaniały odkurzacz elektryczny

wyrobu chlubnie znanej firmy „PROTOS"

1) Do konkursu dopuszczeni są ci wszyscy Czytelnicy „7 DNI", którzy nadeślą w terminie przepisanym rozwiązanie poniżej zamieszczonego trójkąta magicznego.

2) Do nadsyłanych rozwiązań dołączyć należy kupon, zamieszczony poniżej. Rozwiązania bez kuponu nie będą uwzględnione.

3) Termin ostateczny nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1-go kwietnia o północy. W wypadkach wątpliwych decyduje data stempla pocztowego.

4) Losowanie odbędzie się dnia 5-go kwietnia w obecności i pod kontrolą notarjusza. Wszyscy Czytelnicy „7 DNI", biorący udział w konkursie, mogą być obecni przy losowaniu. Po losowaniu dokonane zostaną zdjęcia fotograficzne zwycięscy konkursu, oraz grupy Czytelników, biorących udział w konkursie. Miejsce i godzinę podamy w numerze następnym „7 DNI".

TRÓJKĄT MAGICZNY

ułożył p. Z. Leway, Brody.

	1	2	3	4	5	6	7
1	A						A
2						A	
3					A		
4				A			
5			A				
6		A					
7	A						

W puste kratki wstawić litery, tworząc trójkąt magiczny.

Znaczenia wyrazów:

1) Proces chemiczny. 2) Napomnienie. 3) Drzewo południowe. 4) Masa płynna. 5) Spójnik (wspak). 6) Przyimek. 7) Samogłoska.

DRUGA WIELKA PREMJA
KUPON „7 DNI"

Imię i nazwisko ....

....

Adres ....

....



„Champion Dark of Brighton" — rasowy pies, nagrodzony pierwszą nagrodą na dorocznej wystawie w Istington (Anglja). (United News pictures)

Najwierniejszy przyjaciel człowieka

Spowinowacony z dzikim rodem wilków, lisów, hyen i szakali, pies, ten odwieczny antagonista kota, przestał „chadzać własnemi drogami" w dniu, w którym podporządkował swój instynkt i swój egoizm wszechwładnej i często okrutnej woli człowieka. Stał się odtąd jego towarzyszem, obrońcą, sługą, przyjacielem. Wyparł się nawet własnego rodu, aby uwielbić ród człowieczy. Jest symbolem wierności i oddania. Obce mu ludzkie wyrachowanie — nie opuści nawet złego pana, który go bije i głodzi, dla innego, który będzie go wabił pieszczotą i misą pełną jadła. Towarzyszy człowiekowi na łowach, w Alasce ciągnie go na saniach, w Szwajcarji wozi mu mleko i odszukuje zasypanych śniegiem podróżnych w wąwozach Góry Św. Bernarda, pełni ciężką i niebezpieczną służbę podczas wojny, ochrania dom przed złodziejem, oddaje ogromne usługi policji — zawsze wierny,



Pies myśliwski rasy niemieckiej, nagrodzony pozłacaną obrożą na wielkiej wystawie psów w Drezdnie (Saksonja). Atlantic - Photo.



Wspaniała piątka rasowych buldogów, nagrodzona złotym medalem na wystawie w Lille (Francja Północna). Topical Agency

zawsze czujny, zawsze posłuszny, zawsze oddany swemu panu aż do ostatniej „psiej pary".

Nic też dziwnego, że już w zamierzchłej starożytności spotykamy się ze śladami wdzięczności, jaką człowiek go obdarzał. Wizerunek jego zdobi groby faraonów w Tebach, nie brak go również wśród granitowych płaskorzeźb Niniwy.

Jeśli wierzyć świadectwu tych pomników, pies wówczas sięgał wzrostem dużego źrebaka i był niebezpiecznym wrogiem lwa i dzikiego byka.

Spotykamy psa i w starożytnej Helladzie, gdzie nabrał iście helleńskiej ogłady, z brutalnego molosa przeistaczając się w gibką charcicę, godną pląsać obok boskiej łuczniczki — Djany. W Romie schodzi do roli odźwiernego — nabiera znów groźnego wyglądu, podkreślonego jeszcze przez napis, który widniał wtedy na większości bram i furtek rzymskich: „cave canem" — „strzeż się psa".

W wiekach średnich widzimy psa na nagrobkach, u stóp żałobnej postaci niewieściej, obok postaci męskiej, wspierającej stopę na lwie. Lew jest tu symbolem odwagi, pies — wierności. Epoka Odrodzenia zwraca większą uwagę na piękny kształt psa, niż na jego zalety moralne. Veronese umieszcza u stóp grajków w swych słynnych „Godach w Kanie" parę siwych i wielkich chartów arabskich, t. zw. „slughi".

Jak opowiada przemiły gawędziarz Brantome, król Henryk III był zapamiętałym miłośnikiem psów i wydawał na nie około 100.0000 skudów rocznie. Razu pewnego odznaczył nawet orderem Św. Ducha jakiegoś szlachcica zato, że sprzedał mu parę rzadkich okazów. Nie rozstawał się ze swemi czworonożnemi przyjaciółmi nawet podczas uroczystych audjencyj, nosząc młode szczenięta w specjalnym koszyku, przewieszonym na wstążce przez ramię.



Piękna pani X — i jej najwierniejszy przyjaciel, w którego towarzystwie widujemy ją często w parkach stolicy. (Fot. St. Brzozowski).

Jego trzy psy, „Lilina", „Titi" i „Mimi", były nietylko naprawdę prześliczne, ale i nadzwyczaj mądre. W nocy pełniły kolejno wartę obok łoża swego królewskiego przyjaciela. Kolejność ustalała specjalna sygnalizacja zegarowa, w której wybornie się orjentowały. Pierwsza czuwała „Lilina", poczem, na sygnał zegara, chwytała za ucho śpiącego „Titi", który zajmował jej miejsce u brzega koszyka, sama zaś zasypiała snem zasłużonych. Po godzinie „Titi" budził „Mimi" i t. d., aż do chwili przebudzenia się Henryka III.

Markiza de Sevigné miała ulubioną suczkę, imieniem „Marfiza". Odpowiadając na listy przyjaciół, którzy między innemi zapytywali o zdrowie jej pieszczotki, nigdy nie omieszkiwała dodać: „Marfiza dziękuje za pamięć"... Na złotej obróżce pudla pięknej markizy de Rambouillet wierszokleta Berserade wyrył następujący madrygał:

Kto mnie odnajdzie w mieście, albo w lesie,
Nagrody w złocie temu nie wyliczę —
Lecz szczęsny, kto mnie mej pani odniesie,
Albowiem ujrzy jej cudne oblicze!



Nie kupuje się „kota w worku" — lecz modny mały piesek wybornie mieści się w damskim woreczku... (Phot. Keystone).

W „czułym" wieku XVIII za przewodem Pani de Pompadour Francja, a za nią cała Europa, roztkliwia się nad pieskami. Do pewnej damy dworu, rozamorowanej w swej suczce „Foletce", przyjaciele adresują listy w sposób następujący: „Do Pani X..., u Foletki". Księżna de Conti odzywa się podczas pewnego przyjęcia: „Okropność! Ta *rączka* mego pieska w *łapie* mego męża!"... W parkach i ogrodach, w Ermenonville, Monceaux i Trianon, powstają psie mauzolea — w zacisznych i poetycznych ustroniach, w cieniu wierzb płaczących, w pobliżu „Świątyń Przyjaźni" i znanych nawet u nas „Świątyń Dumania"...

Gorzej powodzi się natomiast wymuskanym psim dandysom podczas Wielkiej Rewolucji, kiedy już nietylko psie, ale nawet ludzkie życie straciło wszelką cenę. „Z pałaców sterczących dumnie" arystokratyczne psy o rodowodach sięgających często Wojen Krzyżowych, dostają się w krwawe i brutalne ręce sans-culotte'ów i ohydnych megier, wystających całemi godzinami na placu, gdzie działała bez przerwy straszliwa maszyna d-ra Guillotin'a...

Lecz ileż sympatyczniejsze od tych wychuchanych i opasłych ulubieńców możnych tego świata są czworonożni przyjaciele ludzi pracy! Najświetniejsi pisarze świata uczcili swem piórem ich psią wierność. Sam James wyśpiewał hymn na ich cześć. Wielki mistyk flamandzki, Maeterlinck, poświęcił im niezapomniane karty w swem drobnem arcydziele p. t. „Sur la mont d'un petit chien". Są bohaterami utworów Rudyarda Kiplinga, nie brak ich w pełnych plastyki opowiadaniach Londona. Lecz bodaj najdoskonalej zrozumiał i odczuł wierną psią duszę nasz Dygasiński, tworząc takie klejnoty jak „Wilk, psy i ludzie" i „As".



Młoda i urodziwa przyjaciółka psiego rodu wzorem Henryka III, króla Francji i Nawarry, nosi małe szczenięta w koszyku. Dziś dopiero otworzyły ślepki na światło dzienne, po raz pierwszy oglądając świat i jego mieszkańców. Nic też dziwnego, że mają minki nieco zaspane... A pomimo to ich pani zgóry cieszy się już z ich „psich figlów"... (Topical Agency).



Suczka pewnej miljarderki amerykańskiej, w stroju „wieczorowym", w którym towarzyszy woreczku... (Phot. Keystone).

Nienajlepiej powodzi się psom w Polsce Niepodległej. Wartoby też, naszem zdaniem, poddać rewizji stosunek naszych władz sanitarnych, policyjnych i samorządowych do tego najlepszego przyjaciela człowieka.

Przedewszystkiem więc należałoby obniżyć nadmierną stawkę podatkową, nakładaną przez magistraty na właścicieli psów. Kilkadziesiąt złotych — to suma poważna w niejednym niezamożnym domu polskim. Pies nie jest przedmiotem zbytku, a posiadanie go nie powinno być przywilejem sfer zamożnych. W suterenie lub na poddaszu mały piesek jest nieraz jedynym towarzyszem i jedyną radością biednego dziecka. Żywi się byle ochłapem, więc nawet najoszczędniejsi ojcowie rodzin udzielają mu gościny. Co innego — zdobyć się na opłatę kilkudziesięcio złotowego podatku. I biedny pieś idzie na ulicę — a biedne dziecko zostaje bez przyjaciela.

A tyle u nas mówi się i pisze o tem, że dziecko to winno być szczęśliwe...

Mi-mo.



Podczas zeszłorocznych upałów letnich pewien sprytny foks zaspokoił swe pragnienie, liżąc taflę lodu (Atlantic).



W wielkich hotelach i restauracjach berlińskich zainstalowano specjalne „psie bary". (Atlantic - Photo).

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Zaczyna wchodzić w życie. Czem zostanie w przyszłości? Czy obierze sobie zawód? — Czy też poprostu... wyjdzie zamąż? Otoczona rojem młodych ludzi, zaczyna zastanawiać się nad wieloma dotychczas obojętnemi dla niej sprawami. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Młody człowiek pozuje na zrozpaczonego, pozbawionego celu w życiu. Hala więc postanowiła mu dopomóc. Nić romansu nawiązana. W tem, niespodziewanie, oświadcza się o Halę stary p. Woyna. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Hala jest już dorosłą, prawdziwą kobietą! Flirt Hali z Zaliwskim — zagadkową, jakby się zdawało, osobistością — zaczyna zwracać powszechną uwagę. Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Ostrzeżenia na temat Zaliwskiego zaczynają trafiać dziewczynie do przekonania, zwłaszcza, że i jej samej nie podoba się poufałość młodego człowieka, więc postanawia poprostu zerwać i z Woyną i z Zaliwskim. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny, której rozmowy odkrywają przed skromnym podlotkiem nowe horyzonty. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat, a właściwie... w półświatek. W jednym z albumów Molińskiej znajdują ze zdziwieniem fotografje całego szeregu znajomych, a pomiędzy innemi i Reńskiego, opiekuna i przyjaciela Zaliwskiego. Halina popada w coraz głębszą rozterkę duchową, zwłaszcza, że życie otwiera przed nią cały szereg trudności i kłopotów, z któremi ludzie muszą się borykać na drodze do szczęścia. Otóż po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna się dla niej flirt z nowym młodym człowiekiem, który papcio nazywa „okresem Steyra", stara się dopomóc koleżance swojej Jadce, rozpacza, iż kuzynek Staś zakochał się w czarnej Alinie, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować.

(9)

— To źle — to bardzo źle — mówił pan Liwski — że ten twój fatygant tak zaczyna... I że nie kieruje się do mnie — tylko do ciebie. Mówisz — że wyraźnie nie prosił, tylko skarżył się? No, no córo, — mniejsza z tem! Pocóż płakać. Ja zresztą rozumiem? A może to i lepiej — weźmie pieniądze i nie pokaże się więcej — będę o ciebie spokojniejszy.

Hala wstała.

— Naprawdę papciu — bądź o mnie spokojny. Pomożemy mu, to dobry uczynek. Zresztą on odda, a ja sama mam go dość.

— Oj — to — to.

Pan Liwski machnął z humorem ręką.

— A niech i odda — ostatecznie — do pewnego stopnia.

— Papciu — do widzenia.

— Gdzie pędzisz, Halu? czy czeka może na ciebie?

— Czeka u mnie w biurze — skłamała znów Hala. Ale czyż można było powiedzieć papciowi, że pojedzie do zadymionej, pełnej mężczyzn i zgiełku kawiarni? Czyż można nie pojechać tam, gdzie czeka Zaliwski — być może — dygocący z niepokoju.

Hala pamiętała słowa Zaliwskiego:

— Jeśli mi się cokolwiek w życiu nie uda, to palnę sobie w łeb! Jestem — jak gracz— który chce mieć wszystko — albo nic.

Zaliwski pokazał przytem Hali mały czarny browning.

Bardziej wzruszona, niż stu zbankrutowanych Zaliwskich, pojechała Hala samochodem. W drzwiach wielkiej kawiarni stanęła odurzona i wystraszona. Wnętrze kipiało od hałasów, krzyków, kłębowiska czarnych postaci i czarnych, lub łysych głów. Wiele nieprzytomnych par oczu spojrzało ze zdumieniem na różową, jasną plamę, która nagle zakwitła wśród morza czarnej nawy i czarnej giełdy. Gwary przy stolikach cichły i rozbrzmiewały na nowo, gdy Hala przechodziła odważnie, szukając wzrokiem Zaliwskiego.

— Za tę akcję pięćdziesiąt — krzyknął ktoś głośniej.

— Sto — dwieście — pięćset — odezwały się głosy.

Kawiarnia huczała teraz śmiechem. Hala czuła, że patrzą na nią wszyscy. Zatrzymała się bezradna — jakże tu odnaleźć Zaliwskiego — w tem czarnem, wyłącznie męskiem — rojowisku.

— Panna — szyk.

— Ot — cud — ce — ce.

— Jeden raz i — umrzeć.

Hala rozglądała się, nie chcąc wiedzieć, czy do niej i o niej się mówi. Zauważyła tylko czarne, błyszczące oczy szczupłego człowieka — może gdzieś już widzianego. Zresztą przy ciasno stłoczonych stolikach siedziało mnóstwo takich samych młodzieńców. W środku każdego gniazda tkwiła nieodzowna łysina. Hala poczęła wracać, z trudem chroniąc się od kelnerskich tac i widoku cmokających warg.

Nagle młody człowiek o czarnych oczach wstał i z zadziwiającą zręcznością przedostał się do Hali.

— Panna Liwska do pana Artura Zaliwskiego — prawda? spytał.

— Tak — odpowiedziała mimowoli Hala.

— Proszę pani, ja jestem jego wspólnik. Pani mnie nie poznaje? Ja jestem Tochter. Pani mnie nie pamięta? Ja do państwa podchodziłem na premjerze... Ja tu czekam i czekam na panią już całą godzinę.

Wręczył Hali bilet wizytowy Zaliwskiego. Na bilecie były pospiesznie skreślone słowa: „Dziękuję, oddaj Tochterowi, przepraszam, wszystko wyjaśnię, Twój Artur".

— No wiecie państwo! — pomyślała Hala.

— Twój Artur — no — no. — Jakiż on mój.

Oddała pieniądze błyszczącym czarnym oczom i zdawało się jej, że nigdy nie miną chwile wychodzenia z kawiarni. Patrzano na nią i mówiono o niej. Była miłą dystrakcją, zaplątaną między walory, akcje, weksle, rewersy, przyrzeczenia sprzedaży — i plajty.

— Nu, to ona przyniosła pieniądze Zaliwskiemu?

— Któremu Zaliwskiemu?

— Czy on nie ma może dobrego gustu?

— We Wiedniu to taka by zrobiła karjerę — nie?

Hala wychodziła jak obita. Mroźne powietrze i chłodne zimowe słońce cieszyły ją bardziej, niż kiedykolwiek, gdy wolniutko wracała do domu, starając się nie myśleć o rzeczach przykrych.

Przykre zaś było wogóle wszystko, nietylko zdarzenie z Zaliwskim nietylko dobrze zapamiętany sen, nietylko zakochanie się Stasia w Czarnej Alinie i nietylko wizyta u Molińskiej. Przykre wydały się Hali: dom z odrapanemi schodami; mieszkanie pełne wycia przy odkurzaniu dywanów, Kazia siąkająca nosem przy nakrywaniu do stołu. Drażniły zapachy z kuchni, gniewał kurz na nutach, denerwowała Stefcia minami i domyślnikami — oraz nieustannem szpiegowaniem starszej siostry. — O, mamusiu — Hala znowu nie zjada zupy.

Papcio opowiedział przy stole o pieniądzach, pożyczonych Zaliwskiemu — i pani Liwska aż załamała dłonie, ganiąc jednocześnie i męża i córkę. Papcio począł bronić i siebie i Hali. Hala powiedziała w rozdrażnieniu. — Ach, dajcie mi spokój — i wyszła z pokoju.

Jeden jedyny kącik w całym mieszkaniu wydał się Hali miłym — pokoik przy kuchni, w którym stale rezydowała Kazia. Tam, wśród pocztówek, oblepiających ściany, przy podartej firaneczce, w której Hala poznała swoją firankę z dziecinnego pokoju w Mormolówce, można było podumać. I powoli optymizm wziął górę. Więc Zaliwski nie miał poprostu „głowy" i dlatego naraził Halę na pobyt w kawiarni, a potem sam nie raczył być — przytem przeprosił, a poza tem napewne jeszcze raz przeprosi. Zresztą — jeśli się czyni dobrze, to nie należy nigdy rachować na wdzięczność, uznanie i delikatność cudzych uczuć. Sen — no sen przykry — ale być może był skutkiem zwyczajnej niedyspozycji — wreszcie zobaczmy, co mówi sennik Kazi. „Toru kolejowego" niema, a „jechać koleją" — oznacza zato kłopoty. Cóż strasznego — kto ich nie ma! „Grać" — znaczy być oszukiwaną — no to cóż — niechże ją oszukuje ten ktoś. Może to Staś, oszukał ją swem zwierzeniem? Albo Zaliwski — eh — nie — był zanadto wzruszony i przejęty. Tak — sen był przykry — ale stanowczo nic złego nie może oznaczać, tembardziej, że „płakać" — oznacza — wielką radość. Co do bytności u Molińskiej, była to przypadkowa, pierwsza i ostatnia wizyta. Mówić o tem w domu nie należy — ale to nic złego — zresztą nie powtórzy się to „nic złego" — bo cóż może Halę łączyć z mieszkaniem Molińskiej. Fotografja Reńskiego? cóż znowu. Tak rozważna dziewczyna jak Hala nie będzie warjo-

wać za jakąś fotografją (jak inne warjatki). Jeśli chodzi wreszcie o miłość kuzynka Stasia do Aliny, to to się wyjaśni. Trzeba Alinę trochę przycisnąć — zabronić jej kokieterji — choćby w stosunku do Stasia.

I Hala poczuła przypływ energji.

A swoją drogą, ileż to rzeczy trzeba teraz ukrywać przed domem!

Wywołano ją — gdyż właśnie przyszła Alina, rozświergotana, wesoła. Hala chciała już zacząć, gdy Alina uprzedziła ją.

— Przyniosłam ci coś! zaszeptała konspiracyjnie.

— Co? spytała Hala.

Alina wydostała z woreczka fotografję — fotografję Reńskiego. Stał w parku, trzymając na ręku zarzutkę i swobodnie uśmiechał się do patrzących.

Dwie główki — jasna i ciemna — pochyliły się nad wizerunkiem wytwornego mężczyzny. Hala starała się ukryć zmieszanie, dziękując Alinie i chowając fotografję w swej torebce.

— Dobrze się spisałam — co? nie? — mówiła Alina. — Wykradłam to Molińskiej — ona ma kilka fotografij Reńskiego i nawet nie zauważyła.

I dodała:

— Bo ja już znam Reńskiego i jeżeli chcesz, to ci go przedstawię. Już mu mówiłam, że bardzo ci się podobał.

— Jakże mogłaś! oburzyła się Hala.

— Nie powiedziałam — kto. A zresztą — daj spokój — jego nie tak łatwo zdobyć — ma szalone powodzenie.

— Wcale nie zamierzam zdobywać — cóż ci w głowie — rzekła Hala i nawiązała rozmowę do zdobywczych aspiracyj Aliny.

— Kuzynek Staś, — mówiła — widzisz — jest bardzo dobry i poczciwy — i jeżeli kocha, to bardzo poważnie.

— Ach, nudny on jest — i zielony jeszcze — odparła Alina.

Hala wymogła wreszcie na Alinie przyrzeczenie, że Staś będzie zostawiony w spokoju.

— Ależ ty roztaczasz nad nim opiekę — no — no.

— Nie — tylko on jest strasznie wrażliwy — i jeśliby się zawiódł na tobie — to gotów przechorować.

— Dlaczegoż miałby się na mnie z a w i e ś ć — przecież ja nie myślę wychodzić zamąż za niego — ani wogóle.

— No widzisz — ale on inaczej sobie nie wyobraża...

— Ach, Halu — rozumiem — już rozumiem — z wyrzutem powiedziała Alina, kiwając główką. — Rozumiem — coś ci powiedziałam o sobie — a ty zaraz uważasz — że nie jestem g o d n a tego smarkacza! Obejdzie się! Jeden mniej — jeden więcej! Nie będę ci robiła przykrości i nie będę zwracała uwagi na tego — gadułę. Że też musiał ci zaraz wszystko wyśpiewać.

— Nic a nic mi nie mówił — broniła się Hala.

— A co do moich spraw, to nie było znów nic takiego — ot przypadek — czekaj — opowiem ci wszystko.

Hala wolałaby nie słuchać — ale Alina z w i e r z a ł a s i ę. A wysłuchać zwierzenia, to niemal obowiązek. I Hala słuchała opowieści obcego, choć bliskiego świata.

Molińska urządzała przyjęcia, na które schodziła się tłumnie młodzież. Tańczy się, pije, niektórzy grają w karty, inni śpiewają, koncertują. Jest „strasznie" wesoło. Późnym wieczorem zaczynają się gry, które wymyśla Molińska, bardzo dowcipnie i pomysłowo. Gry są zabawne, może żenujące — ale wogóle miłe. Jedna tylko zabawa jest trochę ryzykowna...

Alina zaczerwieniła się, ale brnęła dalej:

— Uważasz — nowicjusza lub nowicjuszkę — wpychają do ciemnego pokoju, tego co jest za garderobą i tam w ciemnościach odwiedzają go wszyscy. To znaczy — jeżeli tam jest mężczyzna — to odwiedzają go panie — a on musi poznawać — i nie wypuszczą jego i jej — zanim nie krzyknie głośno, że poznał. Tak samo wchodzą tam panowie, jeśli zgadywać ma kobieta. Zwykle przegrywa się to — jako fant. Więc ja też przegrałam — i wpakowali mnie tam — i zaczęli wchodzić panowie. Trzech poznałam — a czwartego nie. A wiesz — pod drzwiami wszyscy stoją i podsłuchują i zaśmiewają się — a jak ten czwarty ktoś przyszedł — i ja długo nie mogłam poznać — to sobie poszli i zostawili nas samych.

(c. d. n.)

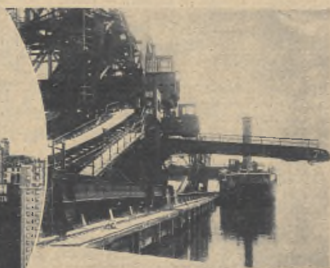
Olbrzymy... Olbrzymy...



Wide World Photos.
Największy głośnik radjowy na świecie! Gdzież mógł powstać, jeśli nie w Ameryce, w kraju, gdzie prawie każdy przymiotnik zaczyna się od sylaby „naj"... Głośnik ten objeżdża ulice Los Angelos stanowiąc znakomity czynnik propagandy radjowej. Osobliwością tego olbrzyma jest to, że można dowolnie regulować siłę jego głosu, każąc mu przemawiać szeptem, lub też grzmotem głosu sięgać odległości kilku kilometrów.



Atlantic Photo - Co.
Najmłodszy olbrzym wśród amerykańskich drapaczy nieba ujrzał niedawno światło dzienne w New Yorku. Sięga on 56 pięter. Koszt — 12 mil. dolarów.



Atlantic Photo . Co.
Na fotografji tej widzimy największy port węglowy na świecie — również w Ameryce, w Baltimore. Niedawno odnowiony i zaopatrzony w najnowsze urządzenia techniczne, jest w stanie załadować 5—7000 ton węgla na statki w ciągu... jednej godziny. Długość potężnego dźwigara wynosi 700, a szerokość 160 stóp. 1 800 wagonów węgla może stanąć jednocześnie wzdłuż wybrzeża tego portu.



Atlantic Photo - Co.
Olbrzymi tort, upieczony na Święta Wielkanocne przez jedną z cukierni berlińskich. Waga jego wynosi 175 kilogramów, średnica półtora metra, wysokość 20 centymtrów. Sześciu cukierników, pracując przez trzy dni, zużyło do tego tortu 30 kg mąki, 25 kg. cukru, 25 kg. masła, 40 kg. rodzynków, oraz 1000 jaj. I oto mamy przed sobą tort, godny stołu bajecznego króla Gargantui!



Atlantic Photo - Co.
Wśród wielu interesujących atrakcyj wielkiej wystawy mebli i pomocy biurowych w Londynie, budzi zaciekawienie największa maszyna do pisania na świecie, której przeznaczeniem jest wpisywanie pozycyj do wielkich ksiąg handlowych. Obok niej widzimy na naszej fotografji normalny model maszyny do pisania, kilkakrotnie mniejszy. Klawiatury obydwu maszyn są jednakowej wielkości.

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Mokotowska 26. Tel. 525-85 Konto P. K. O. 19.447.

Cena ogłoszeń: zł. 1000 za 1 stronę, zł. 500 za 1/2 strony, zł. 250 za 1/4 strony. W razie podwyższenia nakładu ceny proporcjonalnie wyższe: za podstawę obliczenia służy stawka złotych około 40 za jeden tysiąc nakładu. Drobne: za wiersz 1 mm (3 szpaltowy) zł. 1 gr. 20.

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Klisze i druk wykonano w Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska". Warszawa, Szpitalna 12. Telef.: 172-06 i 117-98.